# ODGŁOSY

ROK XIX, NR 31 (974) 29 LIPCA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## GOSPODARKA

KRZYSZTOF POGORZELEC

### PO NAS CHOĆBY POTOP?

**FACHOWCY NIE MOGĄ JAKOŚ DOJŚĆ DO POROZUMIENIA. JEDNI SĄ OPTYMISTAMI, NIE KAŻĄ SIĘ NAM MARTWIĆ, NATOMIAST DRUDZY UDERZAJĄ W ALARMISTYCZNY TON I OSTRZEGAJĄ: WYSTARCZY NAM TEGO LEDWIE NA 50—100 LAT, A W NIEKTÓRYCH PRZYPADKACH PRZESUWAJĄ GRANICĘ NA JAKIEŚ 20—30 LAT. A CO BĘDZIE PÓŹNIEJ? PYTANIE JEST WIĘC TYLE SAMO WAŻKIE CO OCZYWISTE: CZY JESTEŚMY, A JEŻELI TAK — TO JAK DŁUGO JESZCZE BĘDZIEMY BOGACI:**

#### MIĘDZY ROGIEM OBFITOŚCI I DEFICYTEM

Pytanie sięga podstaw egzystencji ekonomicznej tak krajów będących producentami surowców, przede wszystkim tzw. Trzeciego Świata, jak i państw zaliczanych do przemysłowej czołówki, bowiem właśnie aktualna i przyszła zasobność w tej dziedzinie jest powodem utrapień dla wielu mężów stanu, a i bardzo określonych skutków społeczno-gospodarczych. Mnożą się rozmaite prognozy, niekiedy wprost rażąco ze sobą sprzeczne, wręcz wykluczające się. **R. Kahn**, znany amerykański futurolog w wy-

Dalszy ciąg na str. 3

## HIPOTEZY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

### TRZY GWIAZDY?

**Osadzenie lądownika amerykańskiej sondy kosmicznej „Viking – 1" nie odbyło się bez trudności. Dwukrotnie odwoływano lądowanie i ostatecznie lądownik osiadł na powierzchni Marsa 20 lipca 1976 roku.**

Aparatura lądownika **„Vikinga-1"** nadesłała na Ziemię zdjęcia powierzchni Marsa, potwierdzające, że kolor gruntu tej planety jest czerwony. Potwierdziły się również przypuszczenia uczonych, że w atmosferze planety znajduje się azot.

Ośrodek zdalnego kierowania sondami kosmicznymi w Pasadenie został jednakże zaniepokojony awarią aparatury badawczej lądownika **„Vikinga-1"** oraz tym, że siła sygnałów wysyłanych przez lądownik zaczęła niespodziewanie słabnąć. Na szczęście ku Czerwonej Planecie zdąża druga amerykańska sonda kosmiczna **„Viking-2"**, która 7 sierpnia 1976 roku powinna wejść na orbitę okołomarsjańską, a jej lądownik powinien osiąść na powierzchni Czerwonej Planety 4 września 1976 roku.

#### PENETRACJA

„Układu Słonecznego trwa. Uczeni są już w posiadaniu zdjęć powierzchni **Merkurego, Wenus i Marsa.** Amerykańska sonda **„Pionier-10"** dostarczyła w grudniu 1973 roku wielu interesujących danych o **Jowiszu.** Zdjęcia **Jowisza** wykonane z odle-

Dalszy ciąg na str. 6

## OBYCZAJE

Kolegium do Spraw Wykroczeń w Łodzi roztrząsało sprawę: **czy jeżeli kierowca się upije i wobec tego nie chce prowadzić auta, więc maszeruje pchając wóz przed sobą, to czy jest winien prowadzenia auta po pijanemu?** Tak bowiem postąpiła ze swoją limuzyną, jedna pani, która wyszła z przyjęcia. Milicja przyznawała, że pijana pani szła, silnik był zimny i nie warczał. Mimo to kolegium pozbawiło ową panią prawa jazdy na rok oraz wymierzyło jej grzywnę.

KONRAD TUROWSKI

### ŚWIADKÓW NIE BYŁO...

**„Express Ilustrowany" krytykuje orzeczenie, twierdząc, że karalne jest wedle brzmienia ustawy prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym, ale pchanie nie jest równoznaczne z kierowaniem jadącym samochodem — informowała „Polityka"** w poczytnej rubryce **„Coś z życia"**. Wiadomość tę powtórzyły też inne gazety.

**— Wszyscy wtedy myśleli, że umyślnie nadałem rozgłos tej historii** — powiedziała mi Ewa N., gdy poprosiłem ją o rozmowę już po definitywnym zakończeniu całej sprawy i uprawomocnieniu się orzeczenia kolegium. **— Najgorsze, że notatka ukazała się jeszcze przed wymierzeniem mi kary. Jestem pewna, że nie zrobiło to dobrego wrażenia na kolegium, które najwyraźniej było przekonane o chęci wywarcia przeze mnie presji przy pomocy prasy na ocenę całego zdarzenia i mojej winy.**

22-letnia Ewa N., słuchaczka szkoły pomaturalnej obwiniona została o to, że **28 października 1975 roku** o godz. 0,30 w Łodzi na ul. Narutowicza prowadziła samochód osobowy **„Syrena"**, będąc w stanie nietrzeźwym. Dołączono dokument stwierdzający, że analiza krwi pobranej od obwinionej po zatrzymaniu ją przez funkcjonariusza MO wykazała zawartość alkoholu 1,20 promille. Zdaniem autorów wniosku wykroczenie popełnione przez Ewę N. wyczerpuje dyspozycje art. 87 paragraf 1 kodeksu wykroczeń. W uzasadnieniu podano, że czynem swym stworzyła poważne zagrożenie w ruchu drogowym.

Sporządzający wniosek funkcjonariusz MO sierż. Roman K. napisał, że **„Syrenę"** zatrzymał przed posesją przy ul. Narutowicza 37. Jego kolega z radiowozu patrolowego był w tym czasie zajęty kontrolowaniem innego pojazdu. Sierż. Roman K. zwrócił uwagę na **„Syrenę"** ponieważ auto jadące ul. Narutowicza w kierunku radiostacji zatrzymało się przy parku im. Moniuszki, w miejscu, gdzie obowiązuje zakaz zatrzymywania się pojazdów. Widział też, że samochód zaraz ruszył i po przejechaniu kilku metrów znów stanął. Wtedy wyszedł z **„Syreny"**, otwierając jej prawe drzwi, mężczyzna, który zaczął ją pchać. W ten sposób „Syrena" minęła skrzyżowanie z ul. Armii Ludowej.

W momencie, gdy funkcjonariusz MO zatrzymał do kontroli „Syrenę" i pchającego ją mężczyznę, za kierownicą auta siedziała Ewa N. Poprosił ją by wyszła z samochodu. W czasie rozmowy poczuł woń alkoholu. Podał więc Ewie N. probierz trzeźwości, który zmienił barwę na zieloną. Powiedziała, że ok. godziny 23 wypiła w restauracji „Peszt" dwie butelki piwa. Towarzyszący jej młody mężczyzna, który pchał „Syrenę" powiedział **„uczyłem jeździć narzeczoną"**. Sprawdzając stan techniczny auta sierż. Roman K. stwierdził, że kierunkowskazy są niesprawne ponieważ zapalały się jednostajnym światłem, nie przerywanym.

2.

Po raz pierwszy rozpatrywano wniosek o ukaranie Ewy N. na posiedzeniu kolegium 5 grudnia. W protokole odnotowano:

**„Obwiniona przyznaje się do stanu nietrzeźwości dodając: nie prowadziłam samochodu bo nie było benzyny. Kolega pchał mnie do parkingu. Siedziałam tylko za kierownicą. Pchał mnie od parku im. Moniuszki ok. 50 metrów. Włączyłam stacyjkę ale samochód nie ruszył. Samochód był sprawny. Benzyny brakło dużo wcześniej."**

Ewa N. złożyła też wniosek o przesłuchanie w charakterze świadka sierż. Romana K.

Na rozprawę wyznaczoną na **17 stycznia 1976 roku** świadek sierż. Roman K. nie stawił się. Przesłuchany tego dnia Jerzy L., kolega obwinionej z tej samej szkoły pomaturalnej, który pchał owej nocy **„Syrenę"**, powiedział: **— samochód nie miał benzyny więc był przeze mnie pchany ok. 100 metrów. Chcieliśmy zepchnąć go za skrzyżowanie z ul. Armii Ludowej. Razem byliśmy i piliśmy alkohol. Nie posiadam prawa jazdy.**

Dalszy ciąg na str. 5

## MIĘDZYNARODOWE SYMPOZJUM W NRD

# TWÓRCY ROBOTNIKOM — ROBOTNICY KULTURZE

1.

Zaczęło się pechowo, ale tym razem ludowe porzekadło się sprawdziło, że „dobre, co się dobrze kończy". Wysiadając na berlińskim lotnisku ze Staszkiem Pawlikowskim, z niejakim przerażeniem stwierdziliśmy, że nasze bagaże zostały prawdopodobnie na Okęciu, albo poleciały gdzieś w Europę. W dodatku nikt nas nie oczekiwał, a jak nas w ostatnim momencie poinformowano w CRZZ, sympozjum przeniesiono z Berlina do Drezna (ze względu na europejską konferencję partii komunistycznych i robotniczych). W kieszeniach mieliśmy wymienione po 100 marek, ale perspektywa wyjazdu na własną rękę na drugi kraniec NRD niezbyt nam odpowiadała. Ponadto już byliśmy spóźnieni, a w walizkach pozostały niezbędne do egzystencji przedmioty; (Pawlikowskiemu w dodatku przemówienie nad którym się kilka dni mozolił).

Jednak wszystko zaczęło się powoli odkręcać. Odnalazł nas pracownik z wydziału zagranicznego FDGB, zaprosił do saloniku recepcyjnego, dał ochłonąć i wsadził w czarną „Tatrę", którą luksusowo, po dwóch godzinach szybkiej jazdy (cały czas autostradą) dotarliśmy jeszcze w porze obiadu do Bischofwerdy, tuż obok Drezna, gdzie od rana trwało sympozjum poświęcone udziałowi związków zawodowych w rozwoju i kształtowaniu kultury robotniczej. A nieszczęsne bagaże (raczej prosi się tu kalambur o nieszczęsnych bałaganiarzach z Okęcia) odnalazły nas nazajutrz. Tyle, że Pawlikowski, po kolejnej zarwanej nocy, miał już napisane drugie przemówienie.

2.

Byłem w NRD w listopadzie ubiegłego roku. Krótko, i nie wytknąłem nosa poza Berlin. Zresztą pogoda była fatalna. Teraz okazja do szerszego oddechu, więcej czasu i pozaprogramowych luzów. Niemniej i tak to tylko rekonesans przed dłuższą wyprawą, do której się już od kilku lat przymierzam.

Tym razem skorzystałem z zaproszenia CRZZ do udziału w międzynarodowym sympozjum na temat kultury robotniczej. Wzięły w nim udział delegacje organizacji związkowych z dziesięciu krajów socjalistycznych, w tym Wietnamu, Kuby i Mongolii. Delegacje o różnej konfiguracji personalnej, ale każda pod przewodnictwem sekretarza związkowego do spraw kultury, co nadawało całej imprezie odpowiednią rangę. Naszą CRZZ reprezentowali: **Stanisław Lewandowski,** sekretarz CRZZ, **Eligiusz Wójcik,** kierownik wydziału kultury CRZZ, doc. dr hab. **Franciszek Mleczko,** wicedyrektor Instytutu Kultury, **Stanisław Andrzej Pawlikowski,** przewodniczący Warszawskiego Klubu Robotników Piszących, mistrz z huty „Warszawa". I niżej podpisany, którego legitymacją na ten wyjazd było chyba wieloletnie zainteresowanie tematem pracy, co swego czasu CRZZ skwitowała nagrodą literacką. W innych delegacjach dominowali raczej działacze, ale byli również naukowcy, pisarze, aktorzy, muzycy, plastycy. Słowem działacze i ludzie nauki i kultury, którzy mieli wiele interesujących problemów do przedstawienia na międzynarodowym forum.

Jest sprawą oczywistą, że były to zagadnienia różnorodne i oryginalne, ale także mające wspólny mianownik ustrojowy. Każde z państw socjalistycznych startowało z innego poziomu cywilizacyjnego (przy najmniejszych różnicach w Europie), każde do swego modelu kultury wniosło odmienne bogactwo swej tradycji i dziedzictwa kulturalnego; występują też naturalne zróżnicowania wynikające z praktyki dnia codziennego. Najlepszym tego przykładem były wygłoszone przez przewodniczących delegacji referaty, które wypełniły pierwszy dzień sympozjum. Nadzwyczaj gościnni i sprawni organizacyjnie gospodarze w dwa dni później wręczyli je nam w formie broszury. Myślę, że nad tym zapisem, wzbogaconym o głosy w dyskusji, warto się będzie w przyszłości zastanowić. I to z wielu względów...

Poprzestańmy w tym miejscu na kilku refleksjach ogólniejszej natury, bez próby hierarchizowania. Otóż sądzę, a już nie moja wina, że zabrzmi to jak truizm, że we wszystkich krajach socjalistycznych — różnie to akcentując — do spraw kultury i jej masowej recepcji przywiązuje się najwyższą wagę. Nikt z referentów nie chciał być w tej sprawie gołosłowny, nie szczędził liczb, imponujących wprost statystyk rozwoju zawodowego i amatorskiego ruchu kulturalnego, z podkreśleniem milionowego uczestnictwa mas.

Powstaje zaraz pytanie: jak nasz kulturalny ruch związkowy wypadł w tej konfrontacji? Przemówienie **STANISŁAWA LEWANDOWSKIEGO** nie było naszpikowane liczbami, za to bardziej bogate w treści obrazujące istotę i sens przyjętego w Polsce modelu kultury i jego funkcjonowanie w skali masowej. Przy wymianie poglądów, co przy takiej okazji jest najważniejsze, wniosło ono cenne uogólnienia do drezdeńskiego spotkania związkowców. A statystyka, jak ją później przymierzaliśmy do naszego stanu posiadania również przemawiała jednoznacznie: nie mamy się czego wstydzić. Ucząc się zaś z doświadczeń bratnich krajów, mamy wiele doświadczeń, wzorów, pomysłów na „sprzedaż". Takie spotkania, jak sympozjum, oprócz stałych, bilateralnych stosunków, są do tego dobrą okazją.

Jedna może tylko uwaga w mniej optymistycznym tonie, jeśli chodzi o bazę kulturalną. Tu chyba trochę od czołówki odstajemy. A na pewno od gospodarzy — NRD. Tylko, że NRD jest krajem od nas bogatszym i nie wiem czy mają sens takie porównania.

3.

Nieodparcie jednak te skojarzenia mi się nasuwały, kiedy zwiedzałem Berlin, Drezno, miasta na trasie. A najbardziej podczas dwudniowych obrad w **Bischofwerdzie,** 12-tysięcznym miasteczku (powiatowym?), położonym około 30 km od Drezna. Otóż obradowaliśmy w Domu Kultury im. Bertolta Brechta, którego wiele naszych nowych miast wojewódzkich mogłoby szczerze pozazdrościć. (A na pewno znane mi najbliższe: Sieradz i Skierniewice, gdzie trudno nawet o porządną salę widowiskową). Bischofwerdzki „Kulturhaus" akurat przed kilkoma dniami oddano do użytku. Kosztował 5 milionów marek, ale wart był tych pieniędzy. Jest to wielki, nowoczesny obiekt, w którym trudno rozróżnić, co dobudowano, a co jest adaptacją, w którym — mówiąc zwięźle, lecz bez przesady — jest w s z y s t k o, co do działalności kulturalnej jest potrzebne. Sala konferencyjna, miejsce na spotkania kameralne, gabinety zespołów amatorskich, restauracja-kawiarnia, uniwersalna sala na 800 miejsc ze sceną, gdzie może występować każdy teatr, a w razie potrzeby można urządzić ludową zabawę. Jest także miejsce na sporą galerię (zwiedziliśmy inauguracyjną wystawę miejscowych artystów amatorów), a w podziemiach nowocześnie wyposażona, z ciekawym wystrojem plastycznym... dyskoteka (zauważyłem kilka kolorowych zdjęć z idolami naszej rozrywki). I to wszystko w 12-tysięcznym miasteczku, sporo mniejszym od np. Wielunia. A z rozmów z NRD-owskimi związkowcami wynikało, że Bischofwerda nie jest jakimś wyjątkiem, że to powszechnie obowiązująca w całym kraju praktyka.

4.

Sympozjum jest ruchome, gdyż zakwaterowani jesteśmy w drezdeńskim „Interhotelu", w centrum miasta, przy reprezentacyjnej ulicy Pragerstrasse. Jest tu cały kompleks budynków hotelowych, co podobno i tak nie zaspokaja potrzeb milionowych rzesz turystów. O turystycznych urokach tego miasta nie trzeba wspominać. Czas, jaki pozostaje na zwiedzanie miasta, wzmacnia tylko przekonanie, że trzeba tu jak najszybciej na dłużej powrócić. Dzięki jednak uprzejmości Stefana Mielnika, tłumacza delegacji, który mimo, iż jest mieszkańcem podgórskiego Plauen, zna tu każdy kamień — możemy sporo z tych drezdeńskich cudowności (na czele z nieśmiertelnym Zwingerem!) zobaczyć. I nie tylko samo Drezno, ale — to już pomysłowość organizatorów — równie okolice Drezna. I to w sposób najatrakcyjniejszy z możliwych. Po upainym i pracowitym dniu wypłynięcie w górę Łaby statkiem „białej floty", to prawdziwa przyjemność. Tutaj też odbywa się oficjalne, „bankietowe" zakończenie sympozjum. Jak to zwykle bywa: toasty, uściski, wymiana prezentów, znaczków okolicznościowych, adresów, rozmowy już zupełnie prywatne. W tej atmosferze wyławiam gdzieś na pokładzie **Włodzimierza Popowa,** znanego pisarza radzieckiego. Jego książka „Stal i szlaka" zrobiła swego czasu światową karierę. Mam ją w swojej bibliotece. Czytałem tę książkę dawno, ale dobrze ją pamiętam, bo jest o hutnikach, moim pierwszym zawodzie. Tak, że z Popowem rozmawiam jak ze starym znajomym, jakbym go znał od lat. Ale czy tak właściwie nie jest? Wypijamy za przyjaźń, za literaturę, najważniejszą ze sztuk.

Pływamy białym stateczkiem po Łabie przez kilka godzin. Skwarne popołudnie wypiera chłód wieczoru, noc jasna od nadbrzeżnych świateł i księżyca. Podziwiamy okolice: lesiste wzgórza, skalne przełomy, architekturę, małe domki i zabytkowe budowle w Pilnitz, wieżę telewizyjną. Tłumacze mają wyjątkowo wiele roboty w tym delegacyjnym pomieszaniu. Ale są chwile, kiedy w ogóle nie są potrzebni. Kiedy zaczynają płynąć, jedna po drugiej, rosyjskie piosenki z finałową „Katiuszą", a najładniej śpiewają przewodniczące delegacji radzieckiej i bułgarskiej: **Ludmiła Andrejewna Ziemlianikowa i Paulina Enczewa.** Żywiołowa jest delegacja Kuby z Jesusem Orta Ruizem. A nad wszystkim czuwa wszędobylski gospodarz, przewodniczący delegacji NRD-owskiej, dr Harald Bühl. Gospodarze są na pewno zmęczeni, ale muszą być jeszcze bardziej zadowoleni. Mają za sobą nie tylko sympozjum, ale wyjątkowo udany **XVI Festiwal Kultury Robotniczej,** odbywający się w Dreznie i okolicznych miasteczkach. To coroczna (w przyszłości będzie się odbywać co dwa lata), gigantyczna impreza. Statystyka trochę szokuje: ponad 500 zespołów, 900 najrozmaitszych imprez (koncerty, wystawy etc.), 2 miliony 800 tysięcy widzów. Festiwal Kultury Robotniczej tego roku miał charakter międzynarodowy, wzięły w nim również udział zespoły ludowe z krajów uczestniczących w sympozjum.

5.

Stanisław Lewandowski i Eligiusz Wójcik pojechali załatwić służbowe sprawy do Wrocławia, docent Mleczko śpieszył się do Warszawy, nam z Pawlikowskim zostały dwa dni na Drezno i Berlin, gdzie chciałem odwiedzić znajomych. Dzięki gospodarzom, którzy nam nieba przychylali, udało się to znakomicie. M. in. dzięki **Soni Wieland,** sekretarzowi Zw. Zaw. Poligrafii, świetnie zorientowanej we wszystkich interesujących nas sprawach (od turystyki do polityki), która opiekowała się naszą delegacją i towarzyszyła nam do końca. Ale, jak to zwykle bywa za granicami, w każdej wolnej chwili wraca się do krajowych spraw. Była więc okazja do omówienia z szefami kultury CRZZ możliwości ściślejszej współpracy łódzkich pisarzy z ruchem związkowym. Z Pawlikowskim zaś o potrzebie zorganizowania w naszym mieście Klubu Robotników Piszących. I będziemy jesienią tym luźnym propozycjom nadawać konkretne kształty. Przyrzekliśmy sobie to solennie.

Żegnając się ze znanymi mi „ze słyszenia" ludźmi, miałem wrażenie, jakbyśmy też (jak z Popowem) znali się od dawna. To świetni działacze, fachowcy, ludzie z otwartymi głowami. Twierdzę tak nie dlatego, że Lewandowski, Mleczko i Pawlikowski mieli przemyślane i mądre wystąpienia, że nasz ruch związkowy dobrze zaprezentowali, ale na podstawie tych nieoficjalnych rozmów, przekonań, sądów, planów i pomysłów, które są naszą wspólną troską o kształt kultury robotniczej.

JERZY WAWRZAK

# PRZED LEKKOATLETYKĄ

**Olimpijski bilans na dzień 22 lipca 1976 roku przedstawia się następująco: Polska zdobyła 2 złote medale i dwa srebrne. Srebrne medale zdobyli — jak pamiętamy — kolarze oraz Grzegorz Cziura w podnoszeniu ciężarów. Złote medale zdobyli dla Polski: Zbigniew Kaczmarek w podnoszeniu ciężarów i Janusz Gerard Pyciak-Peciak. Dla przypomnienia: w Monachium Polska zdobyła 21 medali olimpijskich, w tym 7 złotych, 5 srebrnych i 9 brązowych. Minęło dopiero — w chwili gdy to piszę — 5 dni XXI Olimpiady w Montrealu. Czy bilans tegorocznych igrzysk będzie taki jak poprzednio, czy też nie przekroczymy liczby 21 medali? Do startu przygotowują się lekkoatleci.**

**Jak do tej pory nasza reprezentacja spisuje się bardzo dobrze, z jednym wszakże wyjątkiem. Ale o tym wyjątku osobno. Siatkarze, którzy wyruszyli do Montrealu z zamiarem przywiezienia stamtąd któregoś z medali, spisują się znakomicie, choć nie mają łatwych pojedynków. Każde zwycięstwo wywalczone jest nie tylko w pocie czoła. Dobrze wystartowali również piłkarze ręczni. W czwartek, 22 lipca 1976 roku, akurat w tym czasie, kiedy na stadionie w Montrealu piłkarze dawali popis gry w bardzo złym stylu, piłkarze ręczni pokonali zespół CSRS w stosunku 21 do 18. To też nie był łatwy mecz, ale jego przebieg dowiódł, że polski zespół może dać z siebie znacznie więcej.**

**Tego dnia przeżył w Montrealu tragedię Józef Zapędzki. Strzelał znakomicie. Co strzał to dziesiątka. Ale trzykrotne zaciecie pistoletu wyeliminowało go z tej konkurencji. Mimo to, że nie odegra już żadnej roli, postanowił stanąć do drugiej tury strzałów. Chce być w porządku wobec siebie, kibiców w Polsce i montrealskiej publiczności, która gorąco i serdecznie okłaskiwała jego zmagania z pechem. Taka postawa budzi uznanie i szacunek. Józef Zapędzki, mimo że przegrał, pokazał klasę strzelca i człowieka.**

**Znakomicie spisał się Janusz Gerard Pyciak-Peciak. Wszyscy po cichu liczyli, że w ostatniej konkurencji pięcioboju nowoczesnego, w biegu przełajowym Janusz Gerard Pyciak-Peciak nadrobi stratę do prowadzącego, gdyż bieg jest najmocniejszą stroną naszego pięcioboisty. On był prawie pewny, że da radę. Nie ukrywał tego. Mówił otwarcie, że myśli o złocie, że będzie o nie walczył do końca. I wywalczył.**

**Uroczystość dekoracji odbyła się na stadionie głównym, w przerwie meczu Polska — Iran, kiedy to do tej przerwy irańscy piłkarze prowadzili 1:0. Cóż to była za radość dla polskich kibiców, dla licznie przybyłej na mecz Polonii. Znów w Montrealu rozległy się tony Mazurka Dąbrowskiego. Znów nad stadionem podniosła się polska chorągiew. I chyba ten wzruszający moment zdopingował polskich piłkarzy, otrząsnęli się z marazmu i wygrali. Cieszyć się jednak nie ma z czego.**

**Jak do tej pory nasza reprezentacja spisuje się dobrze i to jest niewątpliwa prawda. Spisuje się dobrze, to znaczy, że zawodnicy podejmują walkę z najlepszymi i jeśli im ulegają, to często po drodze biją rekordy Polski. Nie musimy się za nikogo wstydzić z wyjątkiem piłkarzy, chociaż to nie my tu w kraju powinniśmy się wstydzić ale oni tam, w Montrealu.**

**W nocy, już 23 lipca 1976 słuchałam radiowej transmisji, bo w telewizji — jak wiadomo — nic nie wiadomo, co się rzeczywiście dzieje w Montrealu. Poświęciłam tych kilka godzin snu, bo tliła się we mnie iskierka nadziei, że może pojmą, że się obudzą, że może przełamią kryzys. Ale nie. Kryzys jest zbyt głęboki. Temu zespołowi nie już nie pomoże, nawet gdyby stał się cud.**

**Słuchałam więc sprawozdania Andrzeja Zydorowicza i notowałam sobie jego niektóre wypowiedzi, bo choć odnosiły się one do tego konkretnego meczu, to zawierał się w nich sens ogólniejszy. Powiedział na przykład Andrzej Zydorowicz: „biało-czerwoni przejawiają pewną ochotę do gry" i to jest prawda ogólniejsza, ale aby bronić złotego medalu trzeba przejawiać nie tylko pewną ochotę, trzeba grać nowocześnie. Powiada dalej sprawozdawca radiowy: „nie ma zawodnika, który uporządkowałby grę polskiego zespołu". To po licho pojechał do Montrealu Kazimierz Deyna? On taką rolę kiedyś pełnił w zespole. Powiedział dalej Andrzej Zydorowicz: „grają tak zwaną małą piłkę". Na wielkiej Olimpiadzie? Trudno też nie zgodzić się z jego opinią, że „popełniają stare grzechy z poprzednich spotkań".**

**Było też w tym sprawozdaniu kilka powiedzeń tak śmiesznych, że już tragicznych. Na przykład: „Grzegorzowi Lato udało się wywalczyć rzut autowy". Od świętej pamięci wszyscy nie tylko w Polsce wiedzą jak trzeba pana Grzegorza Lato ograć. Radzą sobie z nim nawet obrońcy ligowych drużyn, które miewają kłopoty z utrzymaniem się w tabeli, jak na przykład obrońcy ŁKS. Albo: „Deyna okręca się wokół własnej osi". Robi to już od bardzo dawna i aż przykro, że dopiero w Montrealu powiedziano to głośno na całą Polskę.**

**Dla nikogo nie jest tajemnicą, że ani Kuba, ani Iran nie należą do światowej czołówki w piłce nożnej. Remis z Kubą i 3:2 z Iranem nie mogą przesłonić kryzysu w polskiej piłce nożnej. W istocie remis z Kubą jest porażką byłej srebrnej drużyny, a 3:2 z Iranem, choć daje awans w grupie, nie zmienia obrazu. W olimpijskim turnieju są zespoły trochę silniejsze niż Kuba i Iran. Co będzie dalej?**

**Na szczęście rozpoczynają się zmagania lekkoatletów. Najciekawszy moment olimpijskich igrzysk.**

BOGDA MADEJ

# INFORMACJE

## „MŁODZIEŻ W ŻYCIU KRAJU"

Rada Główna Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej i Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, rozpisują konkurs pn. „Młodzież w życiu kraju". Ideą przewodnią tego konkursu jest ukazywanie udziału młodego pokolenia Polaków w realizacji programu nakreślonego przez VII Zjazd PZPR. Zwłaszcza zaś twórczych, ambitnych dążeń ludzi młodych i chęci równania do najlepszych we wszystkich dziedzinach życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego naszego kraju. Organizatorom zależy również na reportażach, audycjach, artykułach publicystycznych, ujawniających i poddających krytycznej analizie te zjawiska i fakty, które ujemnie ważą na jakości życia, pracy i nauczania młodzieży.

Na konkurs mogą być nadsyłane reportaże, artykuły publicystyczne, audycje radiowe i telewizyjne, opublikowane w okresie od 1 stycznia do 30 września br. Każdy z uczestników konkursu może zgłosić nie więcej niż trzy prace w każdym z działów. Autorstwo może być także zespołowe w odniesieniu do każdej pracy.

Nie będą rozpatrywane publikacje ogłaszane na łamach prasy młodzieżowej, bądź w audycjach radiowych i telewizyjnych — emitowanych w ramach stałych programów młodzieżowych.

Za najwartościowsze prace przyznane zostaną autorom w działach reportażu (prasowego, telewizyjnego, radiowego), audycji radiowych i telewizyjnych oraz publicystyki prasowej po trzy nagrody: I — 10.000 zł, II — 8.000 zł, III — 6.000 zł oraz po pięć wyróżnień po 3.000 zł.

Prace konkursowe należy przesyłać do dnia 5 października br. pod adresem: Rada Główna FSZMP, 00-920 Warszawa, ul. Nowy Świat 18/20 z dopiskiem na kopercie: „Młodzież w życiu kraju". Bliższych informacji udziela Wydział Propagandy i Prasy RG FSZMP, tel. 27-13-57 lub 26-23-87.

## PRZYBĘDZIE NAM KRYTYKÓW

Od nowego roku akademickiego Uniwersytet Jagielloński rozpocznie kształcenie krytyków literackich, teatralnych, filmowych oraz muzycznych i plastycznych. Stanie się to dzięki uruchomieniu przy Instytucie Filologii Polskiej UJ międzywydziałowego Studium Krytyki Artystycznej. Będzie ono przyjmować absolwentów ostatnich lat studiów którzy wykażą się najlepszymi wynikami w nauce oraz interesującymi się pracami krytycznymi. Dwuletnia nauka w Studium obejmie m. in. wykłady i seminaria dotyczące poszczególnych dziedzin sztuki, politykę kulturalną w PRL, socjologię kultury oraz wykłady poświęcone określonej tematyce, związanej z wybraną dziedziną współczesnej sztuki.

## FILM O DAGNY JUEL-PRZYBYSZEWSKIEJ

W Oslo zakończono zdjęcia do polsko-norweskiego filmu o Dagny Juel. Norweski reżyser, Hakan Sandoy miał trudności ze sfilmowaniem scen przyjazdu Stanisława Przybyszewskiego i Edwarda Muncha statkiem z Kopenhagi do Oslo. Schodzące co minutę do lądowania samoloty, budowane w fiordzie Oslo wieże wiertnicze i tłumy turystów, zaciekawione XIX-wieczną scenerią, wybudowaną w przystani, komplikowały i przedłużały ostatnie zdjęcia.

Daniel Olbrychski i norweski aktor Nils Oftebro musieli wielokrotnie powtarzać sceny. Jest to 25 film Olbrychskiego. W roli jego filmowej żony, tytułowej bohaterki filmi, wystąpi norweska aktorka, Lise Fjeldstadt. Mimo kłopotów językowych i organizacyjnych, polsko-norweska ekipa szybko uporała się z filmem. Zdjęcia do filmu kręcone były nie tylko w Polsce i Norwegii, ale także w Berlinie i Tbilisi, gdzie Dagny Juel tragicznie zakończyła życie.

## FESTIWAL ZESPOŁÓW POLONIJNYCH

W Hasselt (Belgia' zakończył się V Europejski Festiwal Polonijnych Zespołów Pieśni i Tańca. Brały w nim udział zespoły z Belgii, Holandii, Francji i RFN oraz krajowy zespół „Opoczno". W ramach festiwalu urządzono w ośrodku kulturalnym w Hasselt wystawę „Polska wczoraj, dziś i jutro". Patronat nad festiwalem objęli minister Kultury PRL, Józef Tejchma oraz belgijscy ministrowie Kultury: niderlandzkiej — Rika de Backer i frankfońskiej — Henri van Aal.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

# GOSPODARKA

Dalszy ciąg ze str. 1

wiadzie udzielonym zachodnioniemieckiemu tygodnikowi „Stern" odważnie oświadczył:

**„Nie ma co się przejmować, np. energii jest w bród, choćby... energii słonecznej. Na 200 lat powinno nam starczyć najważniejszych metali nawet przy największym wzroście spożycia."**

A co będzie później? — zapytał Kahna reporter „Sterna". I wtedy padła symptomatyczna odpowiedź: **„Zobaczymy".**

Świat — przede wszystkim ta jego część najbardziej uprzemysłowiona, bogata w przemysł przetwórczy, dobrze pamięta, bo one jeszcze wciąż są odczuwalne, skutki kryzysu paliwowego w roku 1974, gwałtowny skok cen na wszystkie surowce naturalne, zawrotne notowania na giełdach surowcowych w Londynie, Nowym Jorku, Toronto czy Mediolanu. Jak to obliczył angielski periodyk **„The Economist"** tylko od stycznia 1973 roku do maja 1974 wskaźnik wzrostu cen surowców zwiększył się średnio o 80 proc. I choć od tego czasu sytuacja się nieco zmieniła, ceny na takie surowce jak choćby cukier, pszenica, ołów, kakao, miedź, bawełna daleko odbiegają od poziomu, z którego w roku 1970 startowały do oszałamiającego wyścigu w górę. Prognozy na przyszłość tak lakonicznie „rysuje" angielski, już tutaj cytowany tygodnik gospodarczy **„The Economist":**

**„Na dalszą metę pogłębiające się niedobory surowcowe wydają się więcej jak prawdopodobne".**

No cóż, trzeba było dopiero surowcowego szoku z roku 1974, by świat uświadomił sobie bolesną, trudną wobec dotychczasowej obfitości, prawdę, że surowcowe bogactwo naszego globu w wielu dziedzinach nie jest odtwarzalne, a zasoby, nawet jeśli sięgniemy do tych, które kryją się pod powierzchnią mórz i oceanów, pod wieczną zmarzliną, nie są przysłowiową beczką bez dna. Uświadamiając to sobie, zaczynamy jeszcze lepiej rozumieć nie tyle niefrasobliwość co po prostu głupotę słów wypowiedzianych przez francuskiego króla — Ludwika XVI:

**„Apre's mois le deluge" — po nas choćby potop.**

Coraz częściej zaczynamy się oglądać za siebie, a także patrzeć w przyszłość stawiając sobie równocześnie kilka pytań:

- **czy mimo smutnych doświadczeń nie jesteśmy ciągle rozrzutni;**
- **czy nie marnujemy bogactw często nieodtwarzalnych;**
- **czy mimo wiedzy, techniki wykorzystujemy wszystkie szanse dane człowiekowi przez naturę?**

## DO PT CZYTELNIKÓW

A teraz coś, co Szanowni PT Czytelnicy proszeni są o traktowanie jako pewnego rodzaju usprawiedliwienia będącego równocześnie wyjaśnieniem.

Otóż, wszystko to, co zostało wyżej powiedziane na temat znaczenia bogactwa surowcowego naszego globu, możliwych do przewidzenia kłopotów z zaspokojeniem stale przecież rosnącego apetytu na surowce w każdej ich postaci, jest tylko czymś w rodzaju a l i b i. I to zarówno dla mnie, jak i dla samego problemu, który przede wszystkim chciałbym tutaj zaprezentować.

O co chodzi, czemu tak „kręcę" tędy i owędy?

Nim o tym — najpierw anegdotka.

Kiedy w roku 1946 przystępowano do organizowania od podstaw naszej gospodarki, powstało przedsiębiorstwo, które w swej nazwie mieściło słowo **ODPADKI.** Po jakimś jednak czasie znikło ono z „tytulatury" owego przedsiębiorstwa. Dlaczego? Podobno jego załoga skarżyła się na dosyć przykre dla niej skojarzenia, kiedy to ktoś telefonując do tej placówki upewniał się pytając skrótowo: **„ODPADKI?"**

No i mamy dziś **CENTRALĘ SUROWCÓW WTÓRNYCH.**

Teraz już poważnie: powiedzmy sobie szczerze, iż jakoś nigdy nie mieliśmy specjalnego nabożeństwa do oszczędnej gospodarki surowcami, a dziedzina zajmująca się odzyskiwaniem surowców raz już użytych dla celów produkcyjnych lub szeroko rozumianej konsumpcji, tworzenie niejako obiegu zamkniętego : tej sferze — z myślą o maksymalnym wykorzystaniu dóbr materialnych z jednej strony, a i uwalnianiu naturalnego środowiska od uciążliwych często „pozostałości", odpadów, zużytych materiałów i produktów — z drugiej, ciągle pozostaje u nas jakoś w cieniu, tak jakbyśmy się czegoś takiego wstydzili.

Tymczasem...

## JAK TO ROBIĄ INNI?

Właśnie — jak to robią inni, nie koniecznie zresztą ubodzy w surowce, za to z całą pewnością przewidujący?

W charakterze odpowiedzi posłużę się tutaj bardzo obszernymi fragmentami artykułu pióra ekonomicznego komentatora **„Neue Zuercher Zeitung"** który ukazał się w grudniu ubiegłego roku. Oto one:

**„Nowe pojęcie ożywia dyskusję na tematy gospodarcze w Stanach Zjednoczonych: „recycling", ponowne wykorzystanie. W Europie słowo to nie jest nowe, gdyż w gospodarkach narodowych, ubogich w surowce, wzmogły się w miarę rozwijania się produkcji, zwiększania się trudności gospodarczych i wzrostu kłopotów związanych z importem surowców i w miarę wzrastania gęstości zaludnienia — wysiłki w kierunku ponownego wykorzystywania, o ile to tylko możliwe, ważnych surowców i opanowania gospodarki odpadowej. W Europie gospodarka ta osiągnęła punkt kulminacyjny w latach wojennych, która np. w dziedzinie materiałów pędnych, znajdowała się pod znakiem techniki „namiastek". Natomiast w amerykańskim społeczeństwie obfitości i nadmiaru apele o oszczędzanie materiałów i o programy ponownego ich wykorzystania nie znajdowały do niedawna większego echa. Klimat ten uległ zmianie dopiero wówczas, gdy wystąpiły dotkliwe trudności w zaopatrywaniu się w surowce, które ostatecznie w latach 1973—74, przybrały postać dramatyczną wskutek kryzysu energetycznego oraz — wcześniej jeszcze, wskutek wprowadzania prawnych norm ochrony środowiska naturalnego m. in. takich aktów jak** Solid Waste Disposal Act **(1965) i Resource Recovery Act (1970).**

**W Stanach Zjednoczonych gromadzi się w ciągu roku ok. 4 mld ton stałych odpadów. Różne jest ich pochodzenie. Dostarczają ich instytucje komunalne, gospodarstwa domowe przedsiębiorstwa przemysłowe i zakłady usługowe: owe cztery źródła mają w ogólnym nagromadzeniu odpadów stałych udział wynoszący ok. 10 proc., dalej odpady pochodzą z rolnictwa i górnictwa (wraz z uzyskiwaniem wszelkiego rodzaju energii). Same tylko miasta USA wyrzucają rocznie 125 mln ton odpadów stałych, w tym — 800 tys. ton aluminium, 10,6 mln ton żelaza i 400 tys. ton metali kolorowych. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że przy ciągłym naturalnym wzroście ilości odpadów oraz trudności w zaopatrywaniu się w surowce, posunięcia w celu ochrony środowiska naturalnego wzmogły się i zaostrzyły w ciągu ostatniego dziesięciolecia w sposób nieprzewidziany, to łatwo zrozumieć dlaczego ostatnio tak szybko w Ameryce rozwija się nowa gałąź przemysłu: przemysł ponownego wykorzystania materiałów — recycling. Wraz z tym przemysłem rozwinęła się też odpowiednia technika odzyskiwania. Rozwijają się też gałęzie gospodarki, dostarczające tym, którzy przetwarzają odpady pomocy technicznej, usług poddostawczych, transportowych itd."**

Tyle w charakterze oceny „zjawiska". Pora na przedstawienie najnowszych rozwiązań technicznych i skutków ekonmicznych.

**„Obraz tej dziedziny gospodarczej zmienia się, oczywiście, wciąż jeszcze z roku na rok. Tak więc ze źródeł oficjalnych dowiadujemy się np., że w ciągu czterech tylko lat, między rokiem 1970 a 1974, większość komunalnych zakładów spalania odpadów stałych została zamknięta, ponieważ nie czyniły one zadość przepisom ekologicznym. W roku 1973 przeszło 160 miast amerykańskich miało nowe ośrodki wykorzystywania odpadów, z których 60 proc. prowadziły same gminy, a resztą zarządzały przedsiębiorstwa i inni przetwórcy odpadów. Stopień odzykiwania materiałów jest z powodów gospodarczych i technicznych różny w przypadku poszczególnych surowców. Tak np. w zeszłym roku przeszło 1300 ośrodków zbiorczych dostarczyło do ponownego użycia 2,3 mld pojemników aluminiowych, stanowiących 1/6 wszystkich wyprodukowanych puszek aluminiowych. Wyniki te były o 44 proc. wyższe od poziomu osiągniętego w poprzednim roku; oznaczało to nie tylko wydatną oszczędność importowanego surowca, ale też godną uwagi oszczędność energii, odzyskiwanie bowiem aluminium wymaga tylko 1/20 zużycia energii, potrzebnej do nowej produkcji.**

**Dalszymi produktami nadającymi się szczególnie do ponownego użycia jak papier i szkło. W tych dziedzinach można już obecnie się spodziewać pierwszych sukcesów, mimo dość znacznych problemów technicznych, jakie rodzi reprodukowanie tych odpadów w warunkach — nie zapominajmy o tym — współzawodnictwa, nie budzących wątpliwości i zdolnych do konkurencji na rynku nowych produktów. Ponowne wykorzystywanie starego żelaza i starej stali oraz większości metali kolorowych nie kryje w sobie jakichś szczególnych problemów technicznych i np. w przypadku starych samochodów dokonuje się tego już od wielu lat, choć i tutaj występują zahaczenia. Dla techniki odzyskiwania nie ma nieprzezwyciężalnych granic: dzięki zdobyczom chemii mogły powstać spójne ekonomicznie plany przetwarzania wszelkiego rodzaju odpadów rybnych i morskich, wytwarzania glukozy z odpadów celulozowych, a nawet wszechstronnego wykorzystywania nawozu krowiego: 200 mln ton tego nawozu zyskiwanych w ciągu roku można wykorzystywać dzięki przetworzeniu jako nawozy sztuczne, paszę i źródło gazu metanowego. Poprzez gazyfikację nawozu krowiego można by, według obliczeń prywatnych rzeczoznawców gospodarczych, zaspokajać aż 10—15 proc. ogólnych amerykańskich potrzeb energetycznych; na tym nowym polu dostarczania energii podejmie wkrótce działalność kilka przedsiębiorstw".**

Wystarczy? Jeszcze nie, bo nauka zapowiada nowe rewelacje:

**„Ze złóż odpadów wydobywa się obecnie także, jak np. w Kalifornii i Maryland, gaz. Nowy Jork wyposaży w roku bieżącym z takiego złoża w Staten Island w gaz świetlny z odpadów 20 tys. mieszkań; w niezbyt odległej przyszłości mógłby się stać rzeczywistością, tam gdzie pozwalają na to warunki techniczne, program krajowy — a istnieją specjaliści, którzy już dzisiaj mówią o odpadach amerykańskich jako o „naturalnym źródle energii" mogącym w szczególności dostarczać paliwa dla elektrowni cieplnych. Po innowacje w dziedzinie techniki energetycznej sięgnęły też wielkie przedsiębiorstwa: w niedługim czasie zacznie np. produkować energię z odpadów w jednym ze swych zakładów w stanie Massachusetts General Electric Co., zresztą według patentu szwajcarskiego, który złożony został w Europie już przed dwoma dziesięcioleciami.**

**Niedawno umożliwiono korespondentom pism zagranicznych zwiedzenie zakładu odpadów, którego działalność w normalnych warunkach gospodarczych, tzn. obliczonych na zysk, wywołała w kołach specjalistów jak największe zainteresowanie: Garden State Paper Co., filii przesiębiorstwa Media General Inc. Garden State Paper, przedsiębiorstwo będące pomysłem jednego z wydawców dzienników z New Jersey, orientującego się w sprawie ochrony środowiska, jest jednym przedsiębiorstwem w USA, przetwarzającym stare gazety w pełnowartościowy papier rotacyjny, przy pomocy jedynie dodatków chemicznych, służących głównie do usuwania farby drukarskiej, przy czym następuje utrata tylko 15 proc. starej substancji papierowej. (Cały proces przetwórczy trwa niecałe 20 minut).**

**Przedsiębiorstwo to produkuje bez przerwy w trzech swoich fabrykach, znajdujących się w stanie New Jersey, Illinois i w Kalifornii, 350 tys. ton papieru gazetowego rocznie, i mimo zaciętej walki konkurencyjnej w branży papierniczej oraz dotkliwie ograniczających przepisów o ochronie środowiska może się pochwalić wcale znacznymi zyskami. Mimo ciągłego rozszerzania i prostej, rewolucyjnej metody przetwarzania starej substancji, przedsiębiorstwo to ma dotąd raczej znaczenie tylko symboliczne, gdyż na razie Ameryka gromadzi zaledwie 1/5 wyprodukowanego papieru gazetowego (tym starym papierem interesują się przede wszystkim fabryki materiałów budowlanych i wyrobów kartonowych), a procesy ponownego przetwarzania dostarczają dziś jedynie 3 proc. papieru rotacyjnego."**

I w charaktrze konkluzji:

**„Wszystko to prowadzi obserwatorów do postawienia sobie pytania, czy już obecnie jesteśmy przygotowani do gruntownego przemyślenia na nowo kwestii oszczędności materiałowych i ochrony środowiska. Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Wielki kawał roboty został zrobiony. Również gospodarka — o tyle o ile można tu pozwolić sobie na uogólnienie — pragnęłaby wkroczyć na nową drogę, w nie mniejszym stopniu dlatego, że jest to opłacalne."**

## START Z ODLEGŁYCH POZYCJI

Jeśli w charakterze zarzutu wyraziłbym w tym miejscu pogląd, że u nas, w krajowej gospodarce nie można zaobserwować zjawisk świadczących o zmianie stosunku do tej tak ważnej dziedziny życia ekonomicznego, to z całą pewnością — delikatnie mówiąc — rozminąłbym się z prawdą. Przeczą temu po prostu fakty, które uzyskałem w łódzkiej **Centrali Surowców Wtórnych.** Oto co z nich wynika:

- **w roku 1975 zagospodarowano ponownie 80 tys. ton różnych wtórnych surowców włókienniczych;**
- **w tym samym czasie udało się to samo uczynić z 382 tys. ton makulatury i 25 tys. ton zużytych opon gumowych;**
- **rok temu potrafiliśmy ponownie wykorzystać gospodarczo, produkcyjnie ok. 46 tys. ton stłuczki szklanej.**

Nie bez powodu wymieniam tutaj te liczby, gdyż w moim przekonaniu świadczą one o dwóch co najmniej rzeczach o rozmiarze „zjawiska", jego wadze ekonomicznej, a także o tym, że zaczynamy rozumieć wartość wszystkiego tego co ogólnie nazywamy surowcem, że i w tej dziedzinie pokonaliśmy pewną barierę — nie tylko organizacyjną, ale również psychologiczną.

Daleki byłbym jednak od nadmiernych zachwytów, od wyrażania opinii, iż w tej dziedzinie w sferze świadomości społecznej, jak i metod gospodarowania oraz wytwarzania doszliśmy do stanu, w którym postawa cytowanego już tutaj... Ludwika XVI została zastąpiona troskliwą zapobiegliwością. Świadczą o tym inne jeszcze liczby udostępnione mi przez fachowców z łódzkiej Centrali Surowców Wtórnych, Mówią one np., że:

- **w roku 1975 szacowano ilość niezagospodarowanych odpadów włókienniczych na jakieś 110 tys. ton;**
- **w przypadku makulatury — tę samą wielkość określono na jakieś 128 tys. ton, a „złomu" gumowego na 119 tys. ton.**

Złożyły się na to rozmaite powody — choćby takie, jak niedoskonałe wyposażenie techniczne, ale chyba i organizacyjne placówek zajmujących się tą dziedziną, pewne elementy struktury cen hamujące bądź ograniczające zainteresowanie surowcami wtórnymi — zresztą nie wdawajmy się w te kwestie. Chodzi nam przecież nie o wystawianie „recept" dla tej sfery gospodarowania, ale zaprezentowanie pewnej ogólnospołecznej kwestii wartej podjęcia: w fabryce, w gospodarstwie domowym, szkole, w s z ę d z i e.

Krótko mówiąc: jeszcze nie uruchomiliśmy tej „fabryki" w gruncie rzeczy najtańszych surowców, a i tak samo taniej fabryki.

Ale i to nie jest jeszcze wszystko.

## DALEJ NIŻ CZUBEK NOSA

Nie wystarczy pokonanie narosłych latami barier psychologicznych, złych nawyków czy nawet problemów organizacyjno-ekonomicznych. W tym przypadku potrzebna jest ogromna doza wyobraźni kształtowanej jednak materialnymi przesłankami, znajdującymi się niekiedy — dosłownie — w zasięgu ręki.

Kilka przykładów na poparcie tego, które wziąłem z prac grupy polskich naukowców: prof. dr inż. **Tadeusza Antolaka,** prof. **J. Wierzbickiego,** dr **I. Obuchowskiej,** inż. **T. Chomniuka,** dr **D. Miłkowskiej.**

- **Resztki węgla brunatnego, popioły pozostające po jego spaleniu w elektrofiltrach, odpowiednio rozdrobnione i rozsiane w glebę poprawiają jej walory przynajmniej o jedną klasę. Szacuje się, że każdego roku, w Polsce przybywa ok. 1 miliarda ton tych popiołów, a po całkowitym uruchomieniu kombinatu w Bełchatowie będzie ich 3 razy więcej;**
- **Pyły cementowe, jeśli tylko są pozbawione domieszek biologicznych szkodliwych (nikiel, chrom, ołów) mogą być znakomitym preparatem odkwaszającym gleby;**
- **Bardzo uciążliwe dla naturalnego środowiska odpady z tworzyw sztucznych mogą i powinny być przerabiane w różne rodzaje pojemniki i kontenery;**
- **Szlamy odpadowe powstające z zakładów chemicznych mogą być ogromnym źródłem różnych preparatów bardzo potrzebnych rolnictwu, m.in. przy intensyfikacji produkcji buraków cukrowych. Obecnie Zakłady Chemiczne w Tarnowskich Górach wyrzucają na hałdy ok. 350 ton takich szlamów...**

I tak dalej i tak dalej. Coś mi się wydaje, że przytłoczeni narastającą górą różnych odpadków, surowców raz już zużytych — w tej chwili na wysypiskach leży w Polsce ponad miliard ton odpadów — a szacunki mówią, że każdego roku przybywa dalszych 370 milionów ton — ciągle nie potrafimy sobie wyobrazić, że może to być ogromna kopalnia, bez szybów, podziemnych chodników, że wiek XXI który jest już u naszych progów, do tradycyjnego łańcucha surowiec — produkcja — odpady, zapewne doda jeszcze inne ogniwa: surowiec z odpadów — produkcja przemysłowa lub rolna.

No, bo jakże może być inaczej, jeśli po nas nie ma przyjść „potop"?

KRZYSZTOF POGORZELEC

# PO NAS CHOĆBY POTOP?

NIE TYLKO HISTORIA

# KORESPONDENCJA J.M. OSSOLIŃSKIEGO

O potrzebie ogłaszania drukiem korespondencji wybitnych uczonych z przeszłości pisano wiele. O tym, jak ważnym jest ona źródłem dla dziejów nauki historycznej mówiło się jeszcze wówczas, kiedy inicjowano zespołowe, szeroko zamierzone badania nad dziejami naszej historiografii. Do dziś nikt z historyków nie kwestionuje ważności tego rodzaju inicjatyw, przecież jednak dali się oni ubiec badaczom dziejów literatury. W ostatnim ćwierćwieczu ogłoszono przecież znacznie więcej listów pisarzy, niekiedy całe ogromne zespoły ich korespondencji, aniżeli listów uczonych. Trudno się temu zresztą dziwić, skoro epistolografia literacka jest właściwie — a przekonuje o tym ogłaszana przez Z. Sudolskiego korespondencja Zygmunta Krasińskiego — arcyciekawą formą twórczości artystycznej, w dodatku najmniej przez czytelników znaną. Chociaż historycy pozostali nieco w tyle za badaczami literatury, przecież i oni mogą się pochwalić znacznymi osiągnięciami, w postaci publikacji „Listów Emigracyjnych" Joachima Lelewela, korespondencji Karola Szajnochy, listów Henryka Schmitta.

Jak dotychczas mieliśmy ogłoszone drukiem jedynie dwa pełne zespoły korespondencji historyków: Adama Naruszewicza (w opracowaniu Z. Platta) oraz Karola Szajnochy (wydany przez H. Barycza). Inne wydawnictwa, chociaż niezmiernie cenne — jak listy lelewelowskie — przynosiły bądź to korespondencję dotyczącą jednego okresu życia i działalności uczonego, bądź wybór listów, jak np. Henryka Schmitta, i to nie zawsze najszczęśliwszy. Wydano bowiem drukiem listy historyka do żony, zaś najciekawsze — listy naukowe i polityczne — druku się nie doczekały. Ostatnio do tej krótkiej listy ogłoszonych pełnych zespołów korespondencji dochodzi nowe, nadzwyczaj cenne wydawnictwo. Jest nim opublikowana przez Władysławę Jabłońską „Korespondencja Józefa Maksymiliana Ossolińskiego", wydana staraniem Biblioteki Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich (1975).

Edycja ta stanowi pokłosie obchodzonego w 1967 r. jubileuszu 150-lecia działalności zakładu, którego fundatorem był właśnie J.M. Ossoliński. Jubileusz przyniósł tej zasłużonej placówce odznaczenie orderem Sztandaru Pracy I klasy „w uznaniu zasług położonych dla nauki i kultury narodowej, za utrwalenie i krzewienie polskości w okresie zaborów, za wybitne osiągnięcia wydawnicze", jak głoszą słowa dyplomu. Jubileuszowa uroczystość obrodziła okolicznościowymi publikacjami o dziejach i dorobku Ossolineum.

Był J.M. Ossoliński jednym z tych polskich działaczy, którzy po upadku dawnej Rzeczypospolitej nie załamali rąk i kiedy nie stało własnego, polskiego państwa, jęli się pracy nad ratowaniem narodowych pamiątek, utrwaleniem w sercach i umysłach Polaków pamięci o ich własnej historii i tradycji, rozwijaniem narodowej kultury. Ma rację W. Jabłońska, kiedy stawia J.M. Ossolińskiego w jednym szeregu z takimi wybitnymi postaciami, jak obaj Czartoryscy — Adam Kazimierz i Adam Jerzy, Tadeusz Czacki czy inni, gdy podkreśla, że pragnienie zachowania śladów przeszłości przekształciło się u niego „w ideę kontynuowania dzieła Załuskich, stworzenia publicznej biblioteki narodowej, której zbiory dawałyby świadectwo wspaniałej przeszłości Polski i trwałości jej kultury". Temu samemu celowi służyła własna działalność twórcza J.M. Ossolińskiego, który z zapalonego bibliofila, miłośnika książek, stał się wybitnym badaczem dziejów swego kraju i jego literatury, mecenasem rozmaitych inicjatyw naukowych i kulturalnych.

W jego korespondencji raz po raz przewijają się nazwiska najznakomitszych naówczas Polaków, aktywnych na polu kultury, nauki i literatury, A.K. Czartoryski, T. Czacki, J. Śniadecki, J.S. Bandtkie, S. Staszic, S.B. Linde, J. Lelewel, F. Bentkowski, A. Osiński — niepełna ta lista nazwisk daje jakieś wyobrażenie o tym, z jak ważnym zbiorem mamy tu do czynienia. Trudno odmówić racji W. Jabłońskiej, kiedy pisze na wstępie do swej edycji o znaczeniu, jakie będzie ona miała dla przyszłego biografa, twórcy Ossolineum. Prawda to, ale nie wiem, czy nie istotniejsze jest tu co innego: zawarte w listach świadectwa zabiegów i inicjatyw nie tylko jednego, wybitnego człowieka, ale sporego przecież grona działaczy jednego pokolenia.

Zespół 366 listów, które znalazły się w edycji, pochodzi ze zbiorów krajowych i zagranicznych. Kwerenda wydawcy objęła bowiem wszystkie większe zbiory w Polsce, jak również archiwa i biblioteki w ZSRR, NRD, Austrii, Czechosłowacji, Jugosławii, RFN. Czy wszystko udało się tu zgromadzić? Pytanie to retoryczne: każda tego rodzaju edycja daje impuls do odnalezienia jakichś nowych, nieznanych ułomków korespondencji. Tak było w przypadku korespondencji A. Naruszewicza, J. Lelewela i innych, życzyć by sobie należało, by było również i teraz. Bo kto może zagwarantować, że gdzieś nie kryją się jeszcze jakieś zapomniane listy J.M. Ossolińskiego? W niczym nie uchybiłoby wartości pracy, dokonanej przez W. Jabłońską, gdyby teraz ujawniły się jakieś nowe znaleziska.

LEKTOR

## MIKOŁAJ TICHONOW

# SYRENA WARSZAWSKA

**Ta noc porwana przez wybuchy**
**spieniona gruzem, hukiem, wrzawą**
**Łomotem wibrującym w uchu —**
**wszystko to zwało się Warszawą.**

**Nad miastem mrok w czerwonych błyskach**
**wyjące samolotów granie**
**i ta wzburzona, ciemna Wisła**
**i deszcz i wiatru rozpasanie.**

**Gdyby to trwało jeszcze chwilę**
**ten huk i mrok co wciąż narastał**
**Byłbym jak sadzy drobny pyłek**
**w tańcu z duchami tego miasta.**

**Znów rozdudniły się haubice**
**by się łomotem w górę wznieść.**
**Miasto, Syrena, chłodny styczeń**
**jak pancerz mą chroniły pierś**

**I zobaczyłem miecz wzniesiony**
**Dumy zwycięskiej odblask w oku**
**I ponad domy, ponad domy**
**jasność jej twarzy świeci w mroku**

**Tak mi zapadła w serce, w pamięć**
**Stojąca na wysokiej skarpie**
**Syrena, której grom nie złamie**
**i wraża bomba nie rozszarpie.**

**Kiedy przyjeżdżam tu nad Wisłę**
**kiedy się snuję ulicami**
**to o Syrenie ciągle myślę —**
**zaczarowanej dumnej pani**

**I przypominam czas pogardy**
**burzliwych lar okrutne klęski**
**i twoich oczu wyraz hardy**
**i twego miecza gest zwycięski**

**Kiedy z popiołów miasto wzrosło**
**Ty — dumna panno smagłolica**
**Ponad Warszawę miecz uniosłaś**
**strzegąc płomienia swej stolicy**

**I w każdy czas, w pamięci mgnienie**
**przypływa łoskot tamtej nocy**
**Warszawskiej patrzę w twarz Syrenie**
**w jej jasne i spokojne oczy**

przekład **JERZY WILMAŃSKI**

## WŁADYSŁAW SZOSZIN

# NA PRADZE— PRZEDMIEŚCIU WARSZAWY

**Odjechać — w przepaść się rzucić**
**Odjechać — nigdy nie wrócić.**
**Ciężko z dala od ojczystej ciszy**
**Pozostawić groby towarzyszy**

**Dwudziestoletni chłopcze z karabinem**
**Twoje imię wśród mogił nie zginie**
**Ale ciężko zamykać powieki**
**na równinie tak bardzo dalekiej**

**Nad grobami, nad cmentarzem Pragi**
**Pochylają się żałobne flagi.**
**Ale któż ci położy na grób**
**rozkwitnięty, podmoskiewski głóg?**

**Srebrne świerki nad twoją głową**
**nie rosyjską szumią ci mową**
**Nie otworzysz oczu — towarzyszu**
**słów najbliższych już nie usłyszysz**

**Gdy lipcowa zorza zakwita**
**Stóg na polu już cię nie przywita**
**Żarem skręta nie ogrzejesz dłoni**
**ptaków krzyk już cię nie dogoni**

**Gdzieś są słowa bliskie, znajome**
**od żurawin wargi czerwone,**
**las gęstnieje w zielonym chórze...**
**Wiatru dreszcze na końskiej skórze.**

przekład **JERZY WILMAŃSKI**

## TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

# OSTATNI ROK AKADEMICKI w PODZIEMIU

Spoglądając w tej chwili przez mgłę narosłą w ciągu trzydziestu lat na nasz ostatni akademicki rok w czasach pogardy, zdumiewam się, jak mało, poza wspomnianymi już imprezami, m.in. prapremierą „Homera i Orchidei", dostrzegam godnych przytoczenia tu zdarzeń z mego udziału w ich życiu. Może dlatego, że pamięć najlepiej utrwala kontakty pierwsze. A może było ich rzeczywiście mniej. Bo i bardzo ostro wziąłem się do nauki: Krzyżanowski przyspieszył nasz finisz — a czołówka poetycka — ci, co zostali z niej jeszcze nie odeszli „na śmierć łatwą jak obiad" (po Bojarskim wyruszył do „Niebieskiego Imperium" Trzebiński — kolejny kamień czy, że strawestuję Zagórskiego, brylant na szaniec) — zaczęła rezygnować ze studiów: Gajcy i Baczyński. Poza tym moc czasu zabierało mi teraz belfrowanie w Mińsku na kompletach gimnazjalnych (po kilkumiesięcznym ukrywaniu się nie wytrzymałem nerwowo i zaryzykowałem powrót do miasta rodzinnego, zresztą po dowiedzeniu się, że również akta mojej sprawy dzięki wywiadowi AK znikły z teczek mińskiego gestapo; ryzykowałem mocno, zważywszy, że w małym miasteczku widoczność jest znakomita — ale okazało się, że nie było tam donosicieli). Nie chciałem też zaniedbywać Koła Akademickiego. Wprawdzie czas w młodości jest rozciągliwy jak guma, ale nawet i rozciągliwość gumy ma granice... Poza tym był to rok ogromnych dramatów w mińskim podziemiu, także napięć i spięć związanych z polaryzacją postaw politycznych przed wyzwoleniem.

Zajęcia na naszej polonistyce zmieniły swój charakter. Zbliżyły się nieco do normalnych. Krzyżanowski zaryzykował i skupił nas razem w klasach legalnej szkoły handlowej na rogu Jasnej i Świętokrzyskiej. Gdyby nastąpiło najgorsze, mieliśmy udawać tamtych z handlówki, odbywających zajęcia popołudniowe. Historia literatury, którą wykładał Krzyżanowski, otrzymała alarmową nazwę nauki o reklamie — mieliśmy z profesorem wykutą na blachę taką pokazową lekcję z dziedziny wystawiennictwa butów na witrynie. Doroszewski i Szmydtowa niby to uczyli nas niemieckiego. Niepowołana „wizytacja" rzeczywiście raz zjawiła się w czasie zajęć drugiego roku. Gestapowcy zaczęli tam i z powrotem chodzić po klatce schodowej. Szmydtowa w połowie zdania zmieniła język wykładu i zaczęła, jak mi opowiadał potem kolega Jan Perz (dziś dyrektor Teatru Ziemi Łódzkiej) w pensjonarskiej niemczyźnie analizować artyzm ballady: „Wer reitet so spät durch Nacht und Wind". W najkrytyczniejszej chwili jednak przerwała wyszeptawszy zdrętwiałymi wargami: „nie, nie umiem kłamać" Pewnego dnia — na roku naszym — wykład Krzyżanowskiego poczęły dokuczliwie zagłuszać walące w niebo zenitówki. Coś tam na nim nagle zaniepokoiło „tymczasowych". Profesor, nie przerywając wykładu, z sarkazmem, a też z zaskakującym w jego ustach patosem: „Tysiącletni szatan dziejowy staje się wyraźnie nerwowy, wie, że jego bramy piekielne zostaną wkrótce zdruzgotane" Na wykładach pojawiła się nowa osoba prosto z Lublina, śliczna i wiotka Julia Hartwig. Przywiozła mi pozdrowienia od Jurka Pleśniarowicza, z którym przyjaźniłem się przed wojną. Zjawił się również, jak przybysz z tamtego świata, wymizerowany i trochę rozdygotany — czemu się nie można dziwić — Stroiński. Cudem jakimś wypuszczony na wolność, powracał do równowagi gdzieś na „cichej prowincji", która okazała się równie niespokojna, jak każdy teraz zakątek w Guberni — tej „oazy spokoju", jak głosiły jeszcze nadal z płotów propagandowe plakaty niemieckie. Wycałował się ze mną z dubeltówki, choć byliśmy przedtem ze sobą dość oficjalnie, i mówił mi „ty", choć mi przedtem wszyscy, z wyjątkiem Wojtka „panowali". Na prowincji uczył się i pisał. Niebawem wyszło jego „Okno". Stroiński jest nadal praktycznie nie odkryty, niedoceniony i najzupełniej niesłusznie przysłonięty cieniem Gajcego i zwłaszcza Baczyńskiego, którego kult tak dziś przysłonił dokonania i śmierć z wyboru tamtych innych młodych twórców, że wydawać by się mogło i wielu dzisiejszych „masowych" czytelników tak sądzi, iż autor „Święta umarłych" działał na pustyni poetyckiej.

„Okno" Stroińskiego — tom prozy poetyckiej, stanowiącej swoisty pamiętnik z Pawiaka, jest utworem wybitnie prekursorskim i to w wielu jednocześnie kierunkach. Nie mówiąc już o tym, że to chyba najwcześniejsza chronologicznie relacja s t a m t ą d (chociaż utwory o ludziach s t a m t ą d — pisane z wyobraźni a na podstawie materiałów z grypsów już były, autentyki ukazały się dopiero po wyzwoleniu). Jest w „Oknie" z założenia absolutnie szczery potok świadomości, jaki w literaturze docenianej i przecenianej zaprezentował dopiero w 1960 roku — w ślad za nowinkami z Zachodu — Odojewski w „Miejscach nawiedzonych". Są motywy typowe dla modnego dziś — turpizmu Jest surrealistyczna groteska nieznanego wtedy nikomu Kafki, i kafkowskie ożywianie i obdarzanie codziennych, zupełnie „niepoetyckich" przedmiotów rolą agresywnych symboli absurdu czasów i tragizmu egzystencji ludzkiej, i piekła ludzkiej samotności w obliczu spraw ostatecznych. Literatura podziemia, dydaktyczna z wyboru, dotąd ukazywała jedynie człowieka walczącego. „Okno" wzbogaciło ją o ukazanie życia psychicznego in statu nascendi człowieka zewsząd, bo i od wewnątrz i osaczonego, a mimo to nie uległego. A jeszcze niesłychane bogactwo szokująco śmiałej, wspartej paradoksem, a przy tym sugestywnej i czytelnej metaforyki, i to, jak już powiedziałem, metaforyki nie czerpanej z wielkiej wszechpoetyckiej rekwizytorni — jak katedry, biskupi, hieny i motywy biblijne Gajcego — lecz z warszawsko-okupacyjnej pospolitości. Odczytując teraz po latach „Okno" odnajduję w nim obrazy, które z jakimś tam odkształceniem niebawem bezwiednie przeniosłem do swojej „Uczty Aureliana". A zatem lektura „Okna" musiała wtedy szczególnie silnie potrząsnąć moją wyobraźnią. Stwierdzając to, znajduję powód do dumy z takich właśnie, nie innych, „wpływów i zależności" — jak nazywał te rzeczy nieoceniony profesor Borowy, o którego talencie dydaktycznym i życzliwości dla nas nie miałem tu jakoś okazji wspomnieć.

Z mgły pamięci wyłania się takie zdarzenie: Szedłem do Sergiusza Kułakowskiego, który zaprosił mnie, jak się wyraził, „na uroczystość pokazania mi swoich świętych pamiątek po wielkim Tadeuszu Zielińskim". Kułakowski otaczał osobę uczonego i pamięć o nim czcią niemalże mistyczną i nieslychanie bolał z powodu krążących i, jak się okazało po wojnie, rzeczywiście niesłusznych sądów o przyczynach wyjazdu po wrześniu autora „Sofoklesa" do córki w Niemczech. Skręciłem w Wilczą i tuż przed kamienicą, w której mieszkał profesor, zobaczyłem Baczyńskiego. Niewiele myśląc zaciągnąłem go par force do Kułakowskiego, bez uprzedzenia gospodarza, a także bez wtajemniczenia gościa w cel wizyty. Nie byłem więc chyba tak nieśmiały i subtelny, jak to sobie lubię dziś wyobrażać. Kułakowski z niewyraźną miną — mało, a może i nic nie wiedział o młodym poecie i jego sławie w podziemiu literackim — wprowadził nas do stołowego. Na stole stała fotografia Zielińskiego w ukwieconej ramce, bodaj paliła się przed nią świeczka, a obok leżało przygotowane puzdro z fotografiami i listami. Mimo tego anturażu zacząłem z Krzysztofem swobodną rozmowę, jakbym był u siebie, o jego świeżo wydanym „Arkuszu poetyckim" (tym z proroczym, jak się później, niestety, okazało rysunkiem przedstawiającym padającego bojowca o sylwetce samego Baczyńskiego). Baczyński, choć nie uprzedzony, momentalnie zorientował się w sytuacji i stanowczym błyskiem oczu przywołał mnie do porządku. Potem słuchał z uwagą i taktownym pochyleniem głowy egzaltowanych, lecz dość interesujących wspomnień o wielkim uczonym. Kiedy wyszliśmy, powróciłem do „Arkusza", którym byłem zachwycony, zwłaszcza dialogiem poległego żołnierza ruchu oporu z aniołem w poemacie „Wybór" i wskazałem, nie w sensie zarzutu, na powinowactwa stylistyczne ze Słowackim. Odpowiedział z lekkim zniecierpliwieniem, co odtąd sam powtarzam w podobnych wypadkach — że jest tam zarówno Słowacki, jak Asnyk, Klonowicz, Wincenty Kadłubek i Ewangelia świętego Jana, na każdy bowiem współczesny, nowoczesny wiersz składa się milion poprzednich, cały dorobek niepodzielnej literatury.

Ostatni raz spotkałem go na Powiślu w jakąś ulewę. Szedł szybko, prawie biegł. Miał na nogach oficerki, nad głową rozpięty parasol. Zestawienie — nieostrożnych: chciałem mu to powiedzieć, ale bałem się, by znów go nie urazić — oficerek i, mimo niepogody, parasola (nasze pokolenie, urzeczone przed wojną sukcesami Kusego i Wajsówny miało w lekkiej pogardzie deszczochrony i ta niechęć została mi do dziś, choć człowiek co nieco posiwiał) wydało mi się komiczne. Raczej przeczuwszy niż dostrzegłszy moje rozbawienie, wyjaśnił nie odwracając głowy: „Rozpiąłem, bo i tak niosę żonie, biedactwo zostało bez...". To było chyba ostatnie spotkanie z poetą, który niebawem dokonał najtrudniejszego z wyborów.

Mówiono mi potem, że Krzysztof nie lubił afiszowania się w oficerkach, akowskiego snobizmu i niemądrej brawury. Jeśli włożył je tamtego dnia, to niewątpliwie z konieczności: ćwiczenia względnie akcja... A tamten „Arkusz poetycki" dostałem od niego z dedykacją patetyczną i nietypową: „Żołnierzowi nauki i poezji". Właśnie ze względu na tę dedykację matka — niewielka znawczyni metafor, za to bojąca się o jedynaka do obłędu — znalazłszy w czasie mojej nieobecności tomik między uniwersyteckimi szpargałami, wrzuciła go czym prędzej pod blachę.

Przykład właśnie zaprzeczający przekonaniom o egocentryzmie pamięci: z relacji Zbigniewa Wasilewskiego „Taki był mroczny czas" z tomu „Wspomnień o Krzysztofie Baczyńskim", Kraków 1967, wyczytałem niedawno, że w tamtym 1944 roku „Droga" zorganizowała w naszej handlówce na Jasnej spotkanie autorskie kolejno Baczyńskiego, Marczaka, Hanny Mozołowskiej i moje. I właśnie moje wyleciało mi z pamięci tak doszczętnie, że z najwyższym trudem przy pomocy koleżanek z kompletu odpomniałem je teraz. I to jako ledwie mającą magmę, bez znaków szczególnych.

Stanowczo za późno piszę to wspomnienie.

W końcu lutego 1944 zaszły w Mińsku wypadki, które wciąż ożywają we mnie po nocach mimo upływu lat. W ręce gestapo wpadła siatka AK. „Śmierć mundurowa" wygarnęła z domów sto osób. Rozpaczliwa próba odbicia więźniów pociągnęła za sobą dalsze ofiary. Upływ krwi jak na nasze nieduże miasteczko niemal porażający. Potem przyszły już wspomniane napięcia. Chyba pod koniec kwietnia pod wpływem tamtego wstrząsu, napięć i kryzysu wewnętrznego wyrzuciłem z siebie poemat prozą — wspomnianą „Ucztę Aureliana": przeżycia wewnętrzne i konflikty czasu przełożone na język fantasmagoryczny obrazów-halucynacji, które postrzega — doznaje mój alter ego podczas okupacyjnej prywatki. Tym razem po „ostygnięciu pióra" nadal nie opuszczało mnie wrażenie, że oto przekroczyłem próg od wierszy do poezji. Tego zdania była i Bożena, i inni kołowcy. Zapadła decyzja „wydania" „Uczty" na wzór tomików warszawskich, z drukowaną okładką. Wykonała ją konspiracyjnie miejscowa drukarnia — własność działacza lewicowego Gołaszewskiego. Z powielacza jednak po debiutach zrezygnowaliśmy. Przynosił nam pecha. Trzech kolegów przez powielacz uprzednio wpadło. Zatem kilka kolarek aż do skutku przepisywało „Ucztę" na maszynach. Tak dobito do czterdziestu egzemplarzy. Już po spięciu z okładką, czyli „wydaniu", napisałem w nocy pod wpływem nowych aresztowań (tym razem naszych uczniów na kompletach) litanijny wolny wiersz „Morituri Te salutant". Załączony został do „nakładu" jako wkładka. Część poszła na kolportaż, część przeznaczyliśmy na „gratisy". Dostał m.in. Gajcy, Stroiński, Mencel i Marczak. Była już chyba połowa czerwca — okres sesji egzaminacyjnej, rozdania prac magisterskich, jednocześnie wzmożonego terroru w Warszawie i wyraźnych oznak zbliżania się frontu. Gajcego już nie widziałem. Powiedział mi tylko przez kogoś, że „Ucztę" uważa za rzecz udaną i że w jednym z najbliższych numerów „Sztuki i Narodu" mam się spodziewać recenzji, także i przedruku „Morituri". Marczak z powagą młodego staruszka (już mu wtedy nie błyszczały oczy, jak w chwili gdy go poznałem: ten ostatni rok okupacji odbił się na wielu, a także świadomość zbliżania się Godziny „W") oznajmił, że zamierza niebawem napisać do „Drogi" małą rozprawkę pod trójtytułem „Fantastyka — Realizm — Wizjonerstwo", która będzie łącznym omówieniem trzech najnowszych tomów, w tym „Uczty", zaś ukaże sie ten artykuł... w sierpniu. Od tej rozmowy nie widzieliśmy się przez długie lata.

Ziemia się trzęsła. Spłonął nasz dom i znaczna część miasteczka. Potem rozkwitły w nim wytęsknione, nie widziane od pięciu lat biało-czerwone flagi. Działo się bardzo wiele rzeczy słusznych i wiele niesłusznych i grzmiał nadal ciężki bój między Mińskiem a Wyszkowem. Oddział AK idący na pomoc Warszawie został zatrzymany. I tak by nie sforsował Wisły. Patrzyłem na czerwone chmury — dymy stojące nad Warszawą z tegoż wału, po którym kroczy do dzisiaj w mej pamięci Wojtek Mencel i szepcze umarłymi ustami o żołnierzach i Westerplatte. Oto ja tu, a tam teraz giną moi koledzy! — powtarzałem w duchu zrozpaczony.

I koledzy ginęli.

Po wojnie dojeżdżałem z Mińska rowerem do ruin Warszawy — pociągi jeszcze nie kursowały. Zdawałem ostatnie egzaminy. Uniwersytet zdążył już wrócić do swej ocalałej historycznej siedziby. Na „giełdzie", bardzo jeszcze nielicznej i właściwie wcale nie „giełdziarskiej", bo prawie tam się nie mówiło o humorach egzaminatorów i pytaniach, dowiadywałem się, kto poległ, kto ocalał, o kim nic na razie nie wiadomo.

Po wyjeździe do Łodzi jako jeden z pierwszych ogłosiłem w Tygodniku Społeczno-Literackim „Wieś" wspomnienie o młodych poetach walczącej Warszawy. Chaotyczne, nie wolne od młodozarozumialskiego rozdawania ocen i naiwnie nieporadne w próbach usprawiedliwiania niedostatków widzenia klasowego „SiNu". Myślałem, że artykuł wzbudzi jakiś odzew tych, co ocaleli. Odezwał się tylko Ziembicki gniewnie protestując z powodu błędu zecerskiego w jego nazwisku.

---

**Fragment z większej całości**

# OBYCZAJE

# ŚWIADKÓW NIE BYŁO...

Dalszy ciąg ze str. 1

3.

Na kolejnej rozprawie **16 lutego 1976 r.** sierż. Roman K. przesłuchany w charakterze świadka, zeznał:

**— Obwiniona była z kolegą, jechała samochodem. Wóz stanął na ul. Narutowicza. Nie było słychać silnika. Nie widziałem kto prowadził samochód. Obserwowałem dalej sytuację. Wóz ruszył ale po 5—6 metrach znów stanął. Podszedłem do samochodu, wysadziłem panią z wozu i poczułem woń alkoholu. Widziałem teraz kto prowadził samochód. Osoba pchająca „Syrenę" wysiadła od strony chodnika.**

Oskarżyciel publiczny złożył wniosek o wymierzenie Ewie N. grzywny w wysokości 2,5 tys. zł oraz o pozbawienie jej prawa jazdy na okres 12 miesięcy.

Obwiniona prosiła o łagodny wymiar kary.

Kolegium uznało winę Ewy N. za udowodnioną i orzekło karę 1200 zł grzywny, pozbawienia na rok prawa prowadzenia pojazdów oraz obciążyło ją kosztami postępowania w kwocie 50 zł.

W uzasadnieniu podano:

**„Bez znaczenia był sposób poruszania się pojazdu. Obwiniona dopuściła się naruszenia nakazu zachowania trzeźwości w ruchu kołowym. Brała przecież udział w ruchu kołowym. Jadąc pojazdem była zobowiązana przestrzegać wszystkich reguł ruchu adresowanych do kierujących.**

4.

Orzeczenie jeszcze nie było prawomocne, gdy łódzka popołudniówka napisała w figlarnym stylu:

**„Przed niecodziennym dylematem stanęli członkowie Kolegium d.s. Wykroczeń przy naczelniku dzielnicy Łódź-Śródmieście. Czy pchanie samochodu przez osobę znajdującą się w stanie nietrzeźwym można uznać za równoznaczne z prowadzeniem pojazdu?"**

Zaprezentowała też następujący przebieg zdarzenia:

**„Jedna z młodych łodzianek wybierała się wieczorem na przyjęcie do znajomych. Przedtem jednak miała odprowadzić w inny rejon miasta samochód swego ojca. Wyjeżdżała zdając sobie sprawę, że w zbiornikach nie ma prawie paliwa. Zamierzała je zatankować po drodze. Tymczasem silnik zgasł na ul. Narutowicza, w pobliżu parku im. S. Moniuszki. W tej sytuacji kobieta zaparkowała samochód i udała się na przyjęcie. Wracając stwierdziła że bezpieczniej będzie ustawić pojazd na parkingu przed Teatrem Wielkim. Ponieważ wypiła nieco alkoholu, zdecydowała się przy pomocy kolegi przeprowadzić samochód na nowe miejsce. Tuż za ul. Armii Ludowej zatrzymał pchających milicjant. Badanie krwi wykazało ślady alkoholu. Sprawę skierowano do kolegium. Milicjant stwierdził, że nie słyszał pracy silnika, zresztą był on zimny i w zbiornikach brakowało paliwa. Mimo tego kolegium wydało orzeczenie pozbawiające obwinioną prawa prowadzenia pojazdów na rok i orzekło niewielką grzywnę. Konsultowaliśmy się w tej sprawie z kilkoma kierowcami i fachowcami, m.in. wykładowcami na kursach samochodowych. Ich opinia była na ogół zgodna: kobiecie nie można postawić zarzutu, że w stanie nietrzeźwym prowadziła pojazd. Pchanie nie jest bowiem równoznaczne z kierowaniem jadącym samochodem. Ciekawi jesteśmy jakie stanowisko zajmie kolegium w Urzędzie Miasta Łodzi, do którego skierowano odwołanie."**

Przy takim przedstawieniu w ogóle nie ma sprawy! Trafnie więc zauważył jeden z prześmiewców, że pojazd musi mieć nie tylko koła lecz także napęd mechaniczny lub koński, a pchany samochód w ogóle nie jest pojazdem, ale po prostu popychanym przedmiotem. Bo rzecz w tym, że Ewie N. nigdy nie stawiano zarzutu o popełnienie czynu jaki jej imputowała gazeta. Nie można rozważać, czy tylko trzeźwy ma prawo pchać samochód skoro obwiniona **„Syreny"** nie pchała...

5.

W grę tu wchodzi inny aspekt, którego nie mogli dostrzec serwujący, może ciekawy, ale na pewno nieprawdziwy opis incydentu o północy na ul. Narutowicza. Wyłania się mianowicie kwestia, jak należy rozumieć określenie **„prowadzi pojazd"** użyte w artykule 87 kodeksu wykroczeń, dotyczącym odpowiedzialności za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym bądź w stanie wskazującym na spożycie alkoholu? Pozwolę tu sobie zacytować artykuł **Wojciecha Tomczyka** z czasopisma poświęconego problemom praktyki orzecznictwa w sprawach o wykroczenia, przeznaczonego dla członków kolegiów do spraw wykroczeń, organów ścigających wykroczenia oraz sprawujących nadzór nad orzecznictwem („Zagadnienia Wykroczeń" nr 6, 1975 rok, str. 64).

**„Od każdego** — pisze W. Tomczyk **— kto włączył się do ruchu kołowego, można i należy egzekwować przestrzeganie obowiązujących zasad. Z przepisów zaś dotyczących włączania się do ruchu pojazdów wynika, że za uczestnika ruchu kołowego, tj. osobę, która prowadzi pojazd, należy uważać kierującego, od momentu, gdy rozpoczął jazdę. Nie ma przy tym znaczenia to, że sposób jazdy jest nietypowy w tym sensie że np. samochód nie porusza się przy pomocy silnika lub rowerzysta jedzie rowerem nie używając pedałów. Już same przepisy przewidują taką nietypowość ruchu pojazdu dopuszczając wyjątkowo holowanie lub pchanie pojazdu albo zakazując kierującemu rowerem czepiania się innych pojazdów będących w ruchu".**

6.

Ewa N. nie negowała tego, że siedziała za kierownicą **„Syreny"** poruszającej się w sposób nietypowy, czyli pchanej przez Jerzego L. W odwołaniu od orzeczenia pierwszej instancji napisała:

**„Oświadczam, że prowadziłam samochód osobowy „Syrena" nr rej. 2397-IW i na ul. Narutowicza przed skrzyżowaniem z ul. Armii Ludowej zaparkowałam samochód ponieważ brakło benzyny. Było to 28.10.1975 roku ok. godziny 16,30. Następnie wracając od znajomych ok. godz. 23 obawiałam się, że samochód może zostać uszkodzony przez okolicznych chuliganów (raz już został skradziony a raz dokonano włamania) i dlatego poprosiłam kolegę Jerzego L. aby pomógł mi zepchać go na parking na pl. Dąbrowskiego. Byłam pod wpływem alkoholu i nie miałam absolutnie żadnego zamiaru jechać samochodem. Nie prowadziłam tego dnia ok. godz. 23 ani jednego metra samochodu z włączonym silnikiem (było to nawet niemożliwe ponieważ brakowało benzyny). Prawo jazdy posiadam od 1972 roku i od tego czasu jeżdżąc prawie codziennie, nie zostałam ani razu zatrzymana za jakiekolwiek naruszenie przepisów drogowych. Znam przepisy, jednak nie zdawałam sobie sprawy, że pchanie samochodu na parking przez osoby znajdujące się pod wpływem alkoholu może być wykroczeniem, tak jak kierowanie pojazdem. Sprawę tę dokładnie przemyślałam. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa na jakie mogłam narazić siebie i innych użytkowników, i przyrzekam, że więcej tak lekkomyślne postępowanie z mojej strony się nie powtórzy. Proszę o obniżenie kary w sprawie zatrzymania prawa jazdy i kary grzywny gdyż uczę się i jestem na utrzymaniu rodziców."**

7.

12 kwietnia sprawę rozpatrywała druga instancja. Obwiniona powiedziała:

**— Przyznaję, że siedziałam za kierownicą, a kolega popychał „Syrenę".**

Sierż. Roman K. uzupełnił swoje poprzednie zeznania:

**— Widziałem białą „Syrenę" od momentu, gdy jadąc ul. Narutowicza zatrzymała się przed skrzyżowaniem z ul. Kilińskiego bo zapaliły się czerwone światła dla tego kierunku ruchu. Gdy zatrzymałem „Syrenę" silnik był gorący. Czułem to nawet przez maskę.**

Świadek Jerzy L., który w tym czasie zmienił stan cywilny, teraz zeznał:

**— Nie pamiętam, gdzie się umówiłem z obwinioną i czy byłem przy parkowaniu „Syreny" na ul. Narutowicza. Nie pamiętam, czy jechałem z obwinioną.**

Orzeczenie pierwszej instancji zostało utrzymane w mocy.

8.

**— Grzywnę już zapłaciłam ale prawo jazdy mam otrzymać dopiero w kwietniu przyszłego roku** — powiedziała mi Ewa N. — **Termin 12 miesięcy upływa bowiem od czasu uprawomocnienia się orzeczenia. Pyta pan jak to naprawdę było? Tego dnia odebrałam „Syrenę" z naprawy w warsztacie przy ul. Przybyszewskiego. To jedna z pierwszych „stopiątek". Już mocno sfatygowana. W zeszłym roku byłam nią w Rumunii... Wtedy, we wtorek 28 października, dojechałam do ul. Narutowicza i brakło benzyny...**

— Którędy pani jechała?

**— Nie pamiętam**

— Piła pani alkohol w „Peszcie" czy na przyjęciu? Tego dnia były imieniny Tadeusza...

**— W „Peszcie" byłam na obiedzie a później u znajomych.**

*Rys. J. Szymański — Glanc*

— Dlaczego nie próbowała pani znaleźć świadków, którzy mogli widzieć stojącą **„Syrenę"** nim przyszła pani po nią w nocy?

**— Nikt by się taki nie znalazł...**

Pojechaliśmy na ul. Narutowicza. Ewa N. wskazała, w którym miejscu, za skrzyżowaniem z ul. Armii Ludowej, zatrzymał ją sierż. Roman K.

**— Drugi milicjant stał w tym czasie koło jakiegoś samochodu. To chyba była niebieska „Skoda". Sierżant wysiadł z milicyjnej „Warszawy"...**

— Dlaczego chciała pani zaprowadzić „Syrenę" przed Teatr Wielki? Przecież tam nie ma strzeżonego parkingu i „Syrena" tak samo narażona byłaby na kradzież, jak na ul. Narutowicza?

**— Wydawało mi się, że tak będzie lepiej.**

— Nie prościej było w dzień, gdy silnik przerwał pracę z powodu braku paliwa, przywieźć benzynę?

**— Jakoś o tym nie pomyślałam.**

— Czy kara, którą wymierzono uważa pani za sprawiedliwą?

**— To już tyle czasu minęło, że wolę o tym nie mówić i zapomnieć... Szkoda tylko, że się odwoływałam, bo wcześniej otrzymałabym prawo jazdy. Mogę tylko panu powiedzieć, że „Syrena" wtedy była sprawna. Zaraz zawiadomiłam ojca, wziął bańkę 2-litrową, kupił benzyny na stacji przy ul. Strykowskiej i przyprowadził auto pod dom. Kierunkowskazy też działały prawidłowo...**

KONRAD TUROWSKI

# OLIMPIADA

## TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

# PEGAZ I IGRZYSKA

**Sport jest doskonałym tematem dla sztuki. Omijanie go jest omijaniem ważnego zjawiska w życiu. Dlaczego knajpa ma być świetnym tematem dla literatury, a boisko nie?**

**JAN PARANDOWSKI**

1.

Te słowa znakomitego pisarza i znawcy kultury helleńskiej, autora **„Dysku olimpijskiego"** — książki nagrodzonej brązowym medalem na Olimpijskim Konkursie Sztuki w Berlinie w 1936 roku, uświadamiają dawną tradycję tych pozornie tak odległych dziedzin ludzkiej działalności. Narodziła się ona w Grecji, kolebce naszej cywilizacji i ojczyźnie igrzysk olimpijskich. Legendarny Homer tak opisywał rzut dyskiem (najczęściej zapewne występujący motyw poezji o tematyce sportowej):

**...wstał i wziął do ręki,**
**Krąg ciężki i nabity i nie tak maleńki,**
**Jak te, które Feakom służą do zabawy,**
**Zamłyńcował nim, cisnął szparko z ręki prawej,**
**Aż warknął...**

**(tłum. L. Siemieński)**

Podczas starożytnych olimpiad przestrzegano zwyczaju, że w przerwie między poszczególnymi konkurencjami sportowymi poeci wygłaszali swe utwory. Dzisiejsze konkursy i festiwale poetyckie też nie są przecież niczym innym, jak dalekimi krewnymi starożytnych igrzysk literackich.

2.

Średniowieczne czasy „pogardy ciała" nie sprzyjały sportowym zainteresowaniom, a i literatura czym innym była zajęta. Późniejsze epoki odrabiały stopniowo zaległości, ale o narodzinach sportu nowoczesnego mówić można dopiero od momentu rozwoju w Anglii sportu „dżentelmeńskiego". Oficjalną nobilitację sportu w społeczeństwach nowożytnych stanowiło wznowienie w roku 1896 igrzysk olimpijskich z inicjatywy francuskiego barona Pierre'a de Coubertina.

Dziś sport odgrywa rolę coraz większą (zarówno masowy, jak i wyczynowy), króluje również w środkach masowego przekazu — w prasie, radiu, zwłaszcza zaś w telewizji. Ile milionów ludzi ogląda olimpijskie transmisje? A co się dzieje, gdy nasi sportowcy odnoszą sukcesy! Nic zatem dziwnego, iż ludzie pióra zazdroszczą niekiedy popularności uczestnikom igrzysk. Znana poetka, **Wisława Szymborska**, pisze o tym dowcipnie, choć z nutą lekkiego rozżalenia, w wierszu pt. **„Wieczór autorski"**:

**Muzo, nie być bokserem, to jest nie być wcale,**
**Ryczącej publiczności poskąpiłaś nam.**
**Dwanaście osób jest na sali —**
**Już czas żebyśmy zaczynali.**

Wtóruje jej ironicznie **Czesław Ślezak** w autotematycznym wierszu pt.: „Sztafeta":

**Jak możesz triumfować**
**skoro nie rzucasz oszczepem**
**ani dyskiem**
**nie biegasz na żadnych**
**dystansach**
**nie ciskasz kulą**
**nie skaczesz w dal**
**ani wzwyż.**

3.

Momentem przełomowym w dziejach nowoczesnego sportu były bez wątpienia narodziny wielkiego spektaklu sportowego, wykorzystywanie jego widowiskowych walorów. Powstały nawet interesujące, głębiej umotywowane, podziały w narodowych fascynacjach różnymi dyscyplinami — np. boksem w Ameryce Północnej, piłką nożną na starym kontynencie.

Jak słusznie zauważył **Wojciech Lipoński** „masowe widowisko szybko przekształciło model dawnego sportowca-dżentelmena w bohatera tłumu". W ten sposób sportowcy wykroczyli poza ramy stadionu i z początkiem dwudziestolecia międzywojennego wdarli się niejako do masowej produkcji dziennikarskiej, literackiej i filmowej.

Nie bez powodu wymieniłem najpierw dziennikarstwo, ono bowiem w mitologizowaniu sportu odegrało rolę niezwykle ważną i dopiero telewizja mogła skutecznie konkurować z prasą. To właśnie w dziennikarskich kręgach narodził się pewien odrębny gatunek literacki, określany zwykle **„literaturą sportowego faktu"**. Słowo „fakt" nie jest tu najzupełniej ścisłe, bo trudno określać nim stosunkowo częste zafałszowania, zmierzające do idealizacji osobowości sportowca. Owe mistyfikacyjne tendencje obejmowały jednak w zasadzie tylko życie prywatne, same wydarzenia sportowe nazbyt dobrze były publiczności czytającej znane, by ośmielano się je zmieniać. Stąd już tylko krok prowadził do sportowej nowelistyki i powieści w odcinkach o tematyce sportowej. Sensacyjne tytuły świadczą dowodnie, jakiego typu była to literatura: **„W sieci sławy", „Wielka gra", „Pięścią zdobędę świat", „Królowie pięści", „Czarni na ringu — walka dwu ras o bokserski tron świata", „Wśród bohaterów szosy", „Gdzie diabeł nie może"** itp.

Wielkie wydarzenia sportowe, to zjawiska niezwykle konkretne, towarzyszy im zawsze ścisła dokumentacja. I stąd głównie wynika przewaga sprawozdania w prasie codziennej, a felietonu sportowego w periodykach, nad literacką fikcją. Czytelnik o zainteresowaniach sportowych domaga się konkretu. Śledzi imprezy sportowe i jest w stanie natychmiast sprawdzić „wiarygodność" fabuły. A losy fikcyjnego mistrza olimpijskiego jakoś nie bardzo go przekonują. I dopiero w sytuacji, gdy sport wmieszany zostaje w konflikt innej natury, utwory fabularne zyskują na popularności.

Niezależnie od tego nie brakowało i nie brakuje poetyckich urzeczeń sportem. Zauważyć można zjawisko ciekawe — oto w kolejnych latach olimpijskich, zarówno w dwudziestoleciu, jak i po wojnie, ukazywały się specjalne olimpijskie tomiki: **„Laur olimpijski" Kazimierza Wierzyńskiego, „Noże wiosny" Jerzego Mieczysława Rytarda, „Ody olimpijskie" Jarosława Iwaszkiewicza, „Rzut oszczepem" Romana Sadowskiego, „Strofy olimpijskie" Józefa Prutkowskiego, „Niezbrojni zwycięzcy" Aleksandra Rymkiewicza", „Pieśni olimpijskie" Czesława Ślezaka.**

Przed kilku laty urządzono w Warszawie wystawę Polskiej Książki Sportowej i przy okazji tej stwierdzono, że nasza literatura agonistyczna nie jest zbyt obszerna. W odpowiedzi niejako na takie stanowisko wspomniany już **Wojciech Lipoński** ułożył interesującą antologię **„Zapomniani piewcy sportu"** i wykazał niezbicie, że „trudno jest znaleźć w historii literatury polskiej pisarza, który by strząsnął ze swego pióra jakiegoś sportowego drobiazgu".

4.

Przyjęcie niektórych wzorców sportowych z zagranicy miało również określone konsekwencje językowe. W pierwszych polskich periodykach sportowych, jakie pojawiły się pod koniec ubiegłego stulecia, roiło się od zapożyczeń angielskich, francuskich, niemieckich. Usiłowano je spolszczyć, nie zawsze zresztą fortunnie, o czym świadczy satyryczny wierszyk z czasopisma **„Koło"**. Oto jurorzy jednego z konkursów językowych

**Orzekli, że sport odtąd ma się zwać ochotą,**
**A wyrazy pochodne kształtować się oto**
**W sposób: sportman — ochotnik, sportowy — ochoczy**
**Sportmański — ochotniczy...**
**Dalej uchwała każe zwać trening — zaprawą**
**Więc znów w powyższy sposób zmienia się przestawnie**
**Trenera w zaprawiacza, trening-budę w wprawnię.**

Nawet dziś jeszcze polska terminologia sportowa nie jest jednolita, obok określeń rodzimych występują w dalszym ciągu obce, zresztą samo pojęcie sportu w różnych bywa stosowane znaczeniach. Przypominam tę odległą już nieco historyjkę w nadziei, że lepiej zrozumiemy językowe kłopoty niektórych naszych sprawozdawców sportowych.

5.

Kilka okolicznościowych refleksji o literaturze i sporcie, napisanych z okazji odbywających się w Montrealu XXI Igrzysk Olimpijskich zakończyć wypada przypomnieniem głośnej **„Ody do sportu"** pióra Pierre'a de Coubertina — sportowca i poety zarazem:

**O Sporcie, ty jesteś Pięknoł**
**Tyś architektem tej budowli ludzkiego**
**ciała, które oddane niskim żądzom warte jest pogardy,**
**a rzeźbione szlachetnym wysiłkiem, staje się czarą wzniosłości,**
**Żadne piękno nie może istnieć bez proporcji i równowagi,**
**a tyś jest mistrzem niezrównanym obydwu,**
**gdyż ty stwarzasz harmonię, ty nadajesz rytm ruchom,**
**ty siłę zdobisz wdziękiem, a gibkość nasycasz mocą,**

**(tłum. J. Sadowska)**

## KSIĄŻKA

# CORAZ WIĘCEJ ZAGADEK

Powodzenie literatury fantastyczno-naukowej i tej, w której podejmuje się nieraz równie fantastyczne próby wyjaśniania wielu zagadek przeszłości powoduje, że tego typu książek pojawia się coraz więcej. Przy czym ilość książek traktujących o zagadkowych śladach przeszłości wcale nie wpływa na wyjaśnienie czegokolwiek. Wręcz przeciwnie, pytań i zagadek rodzi się coraz więcej.

Spore zamieszanie wywołał swoimi książkami Erich von Däniken. W polskim przekładzie ukazały się jedynie „Wspomnienia z przyszłości". Na łamach „Odgłosów" ukazały się fragmenty „Złota bogów". Prawdopodobnie kolejna książka Ericha von Dänikena ukaże się jesienią. Nim to stanie się, na rynku księgarskim niczym meteor ukazała się książka Andrzeja Donimirskiego **„PRZYBYSZE Z KOSMOSU — RZECZYWISTOŚĆ CZY FANTAZJA?"**. Książka ta nosi podtytuł: **„O niektórych hipotezach pochodzenia naszej cywilizacji"**. Ten podtytuł wiele wyjaśnia

Wyjaśnia on po pierwsze, że książka jest przeglądem takich hipotez, jest niejako zastrzeżeniem, że autor sam takich hipotez nie tworzy, a jedynie prezentuje je czytelnikom. I po drugie — wyjaśnia, że jest to przegląd tylko niektórych hipotez. Można więc domniemywać, że jest ich znacznie więcej. Ale nie wszystkie interesują polskiego czytelnika. I jedno i drugie jest prawdziwe. A mimo to Andrzej Donimirski dorobił się miana „polskiego Dänikena".

Być „polskim Dänikenem" to niewątpliwie wyróżnienie i uznanie, ale różnica między Erichem von Dänikenem a Andrzejem Donimirskim polega na tym, że ten pierwszy stawia śmiałe hipotezy, a ten drugi je relacjonuje i wcale tego nie ukrywa. Autor **„Przybyszy z Kosmosu"** tak napisał we wstępie do swojej książki:

**„Książka ta ma dać krótki przegląd najciekawszych hipotez i teorii, dotyczących problemu pochodzenia człowieka, a w szczególności początków naszej cywilizacji i kultury. Jeszcze bowiem dziś — mimo ogromnego rozwoju paleontologii, archeologii, historii i innych nauk — znajdziemy na naszej planecie wiele budowli czy resztek urządzeń, których pierwotnego przeznaczenia nie udało się dotąd zidentyfikować".**

Andrzej Donimirski solidnie wywiązał się z tego zadania. Dał rzeczywiście interesujący i w miarę obiektywny przegląd różnych teorii i hipotez. A jest ich sporo i rodzą się coraz nowsze, bo ludzi nurtuje ciekawość, jak to też było? Książka Andrzeja Donimirskiego odpowiedzi na to pytanie nie daje. Do wielu znanych hipotez dorzuca nowe. Do wielu postawionych pytań dodaje inne. Proces poznania przeszłości trwa. Czytając książkę Andrzeja Donimirskiego wypada zadać sobie pytanie: czy kiedykolwiek ludzkość dowie się, jak to było naprawdę? Czy hipotezy o kosmicznym rodowodzie naszej cywilizacji nie są błędnym kierunkiem poszukiwań? A może rozwiązania zagadki trzeba szukać na samej planecie? Czyżbyśmy byli jedynym „wybrykiem natury" i reszta Kosmosu była bez życia?

Rejestr tych pytań, które czytelnik może dodać do pytań zawartych w książce, jest najlepszym świadectwem jej pożyteczności. Oczywiście prezentowane w książce Andrzeja Donimirskiego hipotezy i poglądy znajdują wielu przeciwników. Kto wie, czy nie tyleż samo co zwolenników. I to nawet dobrze, bo wszystko co nowe, co wartościowe rodzi się w starciach, w sprzecznościach. Dyskusje i spory, jakie rodzą się na temat zagadek naszej cywilizacji pozwalają — po pierwsze — ujawniać braki i zalety tych hipotez, a — po drugie — zmuszają do myślenia, rozwijają horyzonty, zmuszają do patrzenia na naszą przeszłość pod innym niż przyjęty do tej pory kątem widzenia.

Zagadki, o których pisze Andrzej Donimirski, doczekały się już bogatej literatury. O samej zagadce Atlantydy napisano wielką ilość książek. Wśród nich znajduje się też książka Ludwika Zajdlera „Atlantyda", którą Andrzej Donimirski obficie cytuje. Autor zachęca, aby ci, których prezentowane hipotezy i poglądy zafrapują, zainteresowali się publikacjami bardziej szczegółowymi. Do tego samego zachęca również i tych, których sposób prezentowania różnych hipotez, jak i same hipotezy rozczarują. Śledzenie wysiłków nad rozwiązaniem zagadek przeszłości jest zajęciem wielce pasjonującym. Zachęty chyba nie trzeba. Raczej publikacji na ten temat jest mało. Książka Andrzeja Donimirskiego rozeszła się błyskawicznie przy 30-tysięcznym nakładzie. A może powtórzyć?

**L. W.**

---

Andrzej Donimirski — **„PRZYBYSZE Z KOSMOSU — RZECZYWISTOŚĆ CZY FANTAZJA?"**, Wydawnictwo „Śląsk". Katowice 1976 r., stron 232, cena zł 36,—

## HIPOTEZY

Dalszy ciąg ze str. 1

głości 41 tys. km przesłał na Ziemię **„Pionier-11"**. Sonda ta dostarczyła też bliższych danych o następnej planecie Układu Słonecznego — **Saturnie**. Przewiduje się, że w niedługim czasie penetrację **Saturna** wykona „Mariner" trzykrotnie większy od „Pioniera-11". Dostarczy on również danych o **Jowiuszu.** W latach osiemdziesiątych naszego stulecia — jeśli wszystko będzie się układało pomyślnie — zamierza się osadzić w pobliżu **Jowisza** i **Saturna** sztuczne ziemskie satelity. Amerykanie planują na przykład wyrzucić pojemniki i aparaturę badawczą w atmosferę **Saturna** w 1980 roku, a w 1985 roku przeprowadzić badania, które pozwoliłyby bliżej poznać słynne i tajemnicze pierścienie tej planety.

Gorzej przedstawia się ewentualność bliższego poznania dalszych planet Układu Słonecznego: **Uranu, Neptuna i Plutona.** Nie dysponujemy jeszcze taką techniką, która pozwoliłaby nam wysłać w te rejony sondy kosmiczne. Możemy się jednak spodziewać, że już w niedalekiej przyszłości ludzie rozwiążą takie problemy techniczne, które dziś stanowią dla nas poważną trudność. Nim się jednak to stanie, warto wykorzystać posiadane możliwości, aby bliżej poznać osiągalne rejonuy Układu Słonecznego. Poznanie to jest możliwe tylko dzięki rozwojowi kosmonautyki.

### NURTUJĄCE PYTANIE

Ciągle zadajemy sobie **pytanie: czy na którejś z planet Układu Słonecznego może istnieć życie? Odpowiedź na to pytanie — przynajmniej w odniesieniu do Marsa — mają dać oba „Vikingi", jeśli oczywiście nie zawiedzie aparatura i realizacja programu badań będzie przebiegała bez zakłóceń. Gdyby nawet ta próba zawiodła, to penetracja Marsa trwać będzie nadal i w kierunku tej planety polecą następne sondy kosmiczne, gdyż zdaniem uczonych najwięcej szans jest na to, aby właśnie na Marsie trafić na ślady życia. A na innych planetach?**

Takie właśnie pytanie postawiło amerykańskie pismo **„U.S. News and World Reporter"** profesorowi astronomii na uniwersytecie w Cornell, **Carlowi Saganowi.** A oto jego odpowiedź:

**„Najciekawszym ze znanych nam księżyców jest Tytan, największy księżyc Saturna. Jest to również największy księżyc w Układzie Słonecznym. Bardzo być może, iż Tytan jest miejscem, gdzie powstaje ogromna ilość materii organicznej, która zapewne pokrywa powierzchnię planety. A więc szukając życia, skierowałbym uwagę na planetę Tytan.**

**Inna możliwość — to Jowisz. Jest to planeta pod niektórymi względami przypominająca Ziemię z czasów, gdy powstawało na niej życie — czyli sprzed 4 miliardów lat. Sądzę, że badania zewnętrznej części Układu Słonecznego — przestrzeni wokół Jowisza i poza nim — daje wielkie szanse znalezienia bardzo ważnych informacji o pochodzeniu życia na Ziemi."**

Wszystkie jednak odpowiedzi na nurtujące nas pytania na temat możliwości występowania życia w Układzie Słonecznym jak do tej pory mogą jedynie mieć charakter hipotetyczny. Tenże sam **Carl Sagan** zapytany, jakie są szanse znalezienia życia na Marsie, odpowiedział:

**„Tego nikt nie wie. Środowisko marsjańskie jest na tyle łagodne, że — o ile wiadomo — mogą w nim żyć duże organizmy. Jest jednak również prawdopodobne, że na Marsie nigdy nie było życia. Istnieje też cały szereg możliwości pośrednich: życie wygasłe, życie utajone lub życie w formie mikroorganicznej."**

Jeśli więc w najbardziej prawdopodobnym punkcie Układu Słonecznego — na Marsie — nie spotkamy śladów życia, to jakie mamy szanse spotkania go gdziekolwiek indziej w naszym układzie planetarnym? Tu muszę jeszcze raz zacytować Carla Sagana:

**„Potrafiąc sobie doskonale wyobrazić, jak istoty żyjące na Jowiszu mówią, spoglądając na Ziemię: — Można by się tam wybrać w podróż, ale mowy nie ma o tym, by tam żyć".**

Z naszego punktu widzenia atmosfera Jowisza nie nadaje się w żadnym wypadku do życia. Składa się ona z wodoru, helu, amoniaku, metanu i resztek deuteru, acetylenu, etanu, cyjanowodoru, czterowodorku germanu i tlenku węgla. Ale wśród tych trujących gazów występują również cząsteczki zawierające podstawowe składniki materii ożywionej.

### CO WIEMY O JOWISZU?

Ściśle — co do tej pory wiemy o **Jowiszu?**

Jest to następna po **Marsie** planeta w Układzie Słonecznym. Jej masa jest 318 razy większa od masy Ziemi. Jest to największa planeta w naszym układzie. Jak wielka jest to planeta może pozwoli nam to wyobrazić takie porównanie. Otóż z **Jowisza** można byłoby zrobić więcej niż dwa komplety pozostałych planet. A gdyby zrobić z **Jowisza** ciała niebieskie wielkości naszego Księżyca i umieścić je na naszym niebie, czyli na orbicie naszego Księżyca, to wszystkie one razem zakryłyby jedną trzecią naszego nieba.

Średnica **Jowisza** wynosi 141,7 tys. km i jest prawie 11 razy większa niż średnica Ziemi. Objętość Jowisza jest 1 347 razy większa od objętości Ziemi. Ale masa tylko 318 razy. Z tego wynika, że średnia gęstość Jowisza wynosi 1.30 g/cm sześć. Jest więc to gęstość niewiele większa od gęstości... wody.

Jowisz krąży wokół Słońca w ciągu 11,9 lat ziemskich. Krąży w odległości pięciokrotnie większej niż Ziemia. Najbliższy Słońcu punkt orbity **Jowisza** oddalony jest od Słońca o 740,5 miliona km, a najdalszy o 815,3 miliona km. Minimalna odległość **Jowisza** od Ziemi wynosi 591 milionów km, a maksymalna — 965 mln km. **Jowisz** porusza się po swej orbicie ze średnią prędkością 13,1 km na sekundę. Posiada 12 księżyców. Pierwsze cztery księżyce Jowisza odkryto już w XVII wieku. Odkryli je niemal jednocześnie i niezależnie od siebie niemiecki astronom **Simon Marius** i **Galileo Galilei.** Księżyce te nazywa się powszechnie „galileuszowymi". Są to: **Io, Europa, Ganimed i Kallisto.** Księżyce Jowisza — **Ganimed** i **Kallisto** są większe od planety **Merkury. „Pionier-11"**, przekazując na Ziemię zdjęcia Jowisza, sfotografował też jeden z księżycy Jowisza — **Kallisto,** na biegunach którego widoczne są niewielkie czapy lodowe.

Jowisz wysyła w przestrzeń kosmiczną więcej energii niż otrzymuje jej od Słońca. Jak wykazały ostatnie **badania satelitarne,** wysyła jej 1,9 **razy więcej** niż otrzymuje. Podobnie zachowuje się **Saturn,** który wysyła 2,6 razy więcej energii niż otrzymuje jej od Słońca Aby zrozumieć znaczenie tego faktu, trzeba uświadomić sobie, że Ziemia również wysyła więcej energii, ale różnica między nadwyżką enrgii emitowanej z Ziemi a energią emitowana z Jowisza czy Saturna — wyraża się tym, że nadwyżka ziemskiej energii wyraża się wielkością umiejscowioną na czwartym miejscu po przecinku. Jest to więc zaledwie dziesięciotysięczna część jedności. Tę nadwyżkę łatwo też wytłumaczyć promieniowaniem wynikającym z rozpadu niektórych pierwiastków we wnętrzu Ziemi, jak też zachodzącymi na powierzchni Ziemi procesami spalania oraz rosnącą z roku na rok emisją fal elektromagnetycznych.

Ta niespotykana wśród innych planet cecha nasunęła amerykańskiemu astrofizykowi **J. Pollakowi** śmiałe przypuszczenie, które stało się podstawą nowej hipotezy.

### SATURN

Nim jednak sprezentuję tę hipotezę, warto przypomnieć sobie kilka podstawowych danych na temat kolejnej planety w Układzie Słonecznym — **Saturna.** Co aktualnie wiemy o **Saturnie?**

**Jest to planeta najbardziej wyróżniająca się, niepodobna do innych. Przede wszystkim jest ona najbardziej spłaszczoną planetą w całym Układzie Słonecznym. Obraca się wokół własnej osi w ciągu 10 godzin 14 minut i 42 sekund. Ma objętość 735 razy większą od Ziemi, ale masę tylko 95 razy większą. Średnia gęstość Saturna** wynosi 0,71 g/cm sześć. Jest to więc gęstość mniejsza od gęstości wody. Jest zatem **Saturn** globem rzadszym od wody. Posiada rozległą atmosferę, której grubość wynosi około 26 tysięcy km, a która składa się głównie z metanu i amoniaku. Temperatura górnych warstw **Saturna** wynosi minus 193 stopnie C. Pozwala to sądzić, że prawie wszystkie gazy występują tam w postaci zamarzniętej, a jedynie metan w postaci ciekłej.

Saturn krąży wokół Słońca w odległości dwukrotnie dalszej niż Jowisz, wynoszącej 1 427 milionów km. Najbliżej położony Słońca punkt jego orbity oddalony jest od naszej gwiazdy o 1 346,4 mln km, a najdalszy punkt — o 1 510,9 mln km. Saturn porusza się po orbicie z prędkością 9,6 km na sekundę, a pełnego obrotu dookoła Słońca dokonuje w ciągu 29,458 ziemskich lat.

Saturn jako jedyna planeta Układu Słonecznego posiada pierścień. Pierścień ten został odkryty w 1656 roku przez holenderskiego astronoma **Christiana Huygensa.** W 1675 roku dyrektor paryskiego obserwatorium **Giovanni Domenico Cassini** odkrył przerwę w pierścieniu Saturna, która od jego nazwiska nosi nazwę **„szczeliny Cassiniego"** i ma około 4 tys. km szerokości. Następną przerwę w pierścieniu Saturna odkrył w 1836 roku niemiecki astronom **Jan Encke.** Przerwa ta ma szerokość tysiąca km i nosi — oczywiście — nazwę **„szczeliny Enckego".** Pierścienie Saturna — łącznie z przerwami — rozciągają się na przestrzeni od 72 tys. km od Saturna do 138 tys. km. Grubość tego pierścienia wynosi nie więcej niż 20 km. Masa pierścienia jest 800 razy mniejsza od masy ziemskiego Księżyca.

Na temat powstania pierścieni Saturna stworzono kilka hipotez. Najbardziej prawdopodobną jest hipoteza francuskiego matematyka i astronoma **Edwarda A. Roche,** który doszedł do wniosku, że pierścień Saturna powstał na skutek zbliżenia się do powierzchni planety na odległość mniejszą niż 2.455 jej promienia któregoś z satelitów. Satelita ten został rozerwany przez siły grawitacyjne Saturna. Natomiast przerwy w pierścieniu powstały na skutek działania sił grawitacyjnych pozostałych satelitów planety.

Saturn posiada 10 księżyców. Dziesiąty, najbliższy planecie, księżyc został odkryty dopiero w 1966 roku przez francuskiego astronoma **A. Dollfusa.** Największym księżycem Saturna jest **Tytan** — siódmy w kolejności licząc od planety. Jest on większy od Merkurego. Posiada rzadką atmosferę odkrytą w 1944 roku przez amerykańskiego astronoma **G. P. Kuipera.**

### PLANETY I GWIAZDY

Traktując rzecz najprościej można powiedzieć, że różnica między planetą a gwiazdą polega na tym, że planeta świeci światłem odbitym, a gwiazda — własnym. Jednakże postępujące badania dwu szczególnych, największych planet Układu Słonecznego zmuszają do pewnej rewizji tak lapidarnego ujęcia różnicy między gwiazdami a planetami. Okazało się bowiem — w wyniku tych badań, jak i wcześniejszych spostrzeżeń — że niektóre planety wykazują więcej podobieństwa do gwiazd niż do planet. Takie podobieństwo zachodzi właśnie w przypadku **Jowisza i Saturna.**

Obserwacje obu planet przez najsilniejsze teleskopy pozwalają widzieć jedynie to, co zachodzi w atmosferze tych gigantów. Analiza danych dostarczonych przez obie sondy kosmiczne **„Pionier-10"** i **„Pionier-11"** pozwala przypuszczać, że wnętrze **Jowisza** stanowi mieszaninę wodoru i helu mniej więcej w takich proporcjach, w jakich występują one w atmosferze słonecznej. Zakłada się również, że we wnętrzu planety występują one w stanie ciekłym, a jedynie w samym centrum w stanie stałym.

Szwedzki astronom **Karol W. Charlier** dawno już odkrył, że do systemu satelitarnego **Saturna** można z powodzeniem stosować regułę Bodego, która odnosi się przecież do Układu Słonecznego. Dla wyjaśnienia warto dodać, że dyrektor obserwatorium berlińskiego **Johann Elert Bode** w 1772 roku stwierdził, że jeżeli do każdego ze składników szeregu: 0, 3, 6, 12, 24, 48, 96 doda się 4 i wynik podzieli się przez 10, to otrzyma się średnie odległości planet od Słońca, mierzone w jednostkach astronomicznych. Reguła ta pozwoliła między innymi zwrócić uwagę na wolne miejsce w szeregu planet i tak powstała hipoteza o kosmicznej katastrofie Faetona, po której właśnie w odległości 2,8 jednostek astronomicznych pozostał szeroki pas planetoid. Wracając do spostrzeżenia **Karola W. Charliera,** sporządzono na jego podstawie wyliczenia i okazao się, że faktyczne odległości księżycy **Saturna** minimalnie tylko różnią się od teoretycznych obliczeń ich odległości sporządzonych na podstawie reguły Bodego.

Układ satelitarny **Jowisza** też niekiedy nazywa się miniaturowym układem planetarnym.

Na tej podstawie — jak na podstawie innych przesłanek — a przede wszystkim na podstawie znacznie większej emisji energii niż pozwala na to ilość energii otrzymywanej od Słońca amerykański astrofizyk **J. Pollack** doszedł do wniosku, że **Jowisz** i **Saturn** ewoluowały nie jak planety, a jak... gwiazdy.

Omawiając wyniki badań obu amerykańskich sond kosmicznych: **„Pioniera-10"** i **„Pioniera-11"** pismo **„New Scientist"** przytacza hipotezę J. Pollacka, stwierdzającą, że **Jowisz** w początkowym etapie był protoplanetą — tworem rozległym i jasno świecącym, a następnie w przeciągu 4,5 lat ostygł i skurczył się do obecnych rozmiarów. Nadal jednak obserwuje się powolne grawitacyjne kurczenie się Jowisza, wynoszące 0,1 cm na rok. Są to zjawiska typowe dla gwiazd.

Gwiazdy w pewnym okresie swego rozwoju kurczą się, ulegając zapalaniu się grawitacyjnemu. W trakcie tego rozgrzewają się i w ich wnętrzu zachodzą reakcje jądrowe. Jak długo zachodzą takie reakcje, gwiazda utrzymuje swoje rozmiary. Kiedy jednak powoli wyczerpie się paliwo, gwiazda zaczyna się dalej zapadać, zamieniając się w białego karła, gwiazdę neutronową czy czarną dziurę.

Zdaniem **J. Pollacka** zarówno **Jowisz** jak i **Saturn** przechodziły taką ewolucję, aczkolwiek w różny sposób. Proces taki zachodził w przypadku **Jowisza** bardzo powoli i „gwiazda" wypromieniowała bardzo dużo energii. **Jowisz** nigdy — utrzymuje J. Pollack — nie był dostatecznie gorący, aby mógł przejść dokładnie taki sam proces jaki powinna przejść gwiazda. Dziś może dlatego wysyłać więcej energii niż otrzymuje jej od Słońca, gdyż w trakcie swojej ewolucji zgromadził jej pewien zapas.

Saturn natomiast ewoluował szybciej od Jowisza, ale Saturn wypromieniował mniej energii niż Jowisz. Dziś promieniuje jej też więcej, a bierze to z zachodzącego we wnętrzu procesu rozdzielania się helu od wodoru.

**J. Pollack** przedstawił swoją hipotezę na zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Astronomicznego. Przyjęta ona została z dużym zainteresowaniem, ale też i z pewnym sceptycyzmem. Jest to bowiem hipoteza bardzo ryzykowna. Niektórzy uczeni zwracają uwagę, że choć dziś już sporo wiemy o Księżycu, to nie potrafimy jeszcze nic powiedzieć o jego pochodzeniu. Cóż więc możemy sądzić o powstaniu i ewolucji Jowisza i Saturna, które możemy tylko oglądać przez teleskopy.

Ale jeśli **J. Pollack** choć trochę ma racji, to może się okazać, że żyjemy na Ziemi nie w sąsiedztwie jednej a trzech gwiazd.

**LUCJUSZ WŁODKOWSKI**

# TRZY GWIAZDY?

# PETENCI

EWA OSTROWSKA

## KOMU WOLNO MYLIĆ SIĘ

1.

Zdarzyło mi się nie tak dawno wsiąść w autobus pośpieszny i w roztargnieniu skasować bilet na autobus zwykły. Moje roztargnienie nadużyło finanse MPK na kwotę pięćdziesięciu groszy, jednakże kontroler potraktował mnie nie jako oszusta za pięćdziesiąt groszy, lecz za dwa złote, zapłaciłam więc pełną karę (dwieście złotych). Zdarzyło mi się zgubić książeczkę opłat radiofonicznych, a nim ją znalazłam, przyszedł kontroler z Poczty i z punktu okazałam się oszustem, który korzysta bezprawnie i za darmo z radia i TV. Otrzymałam w darze protokół „zajścia", zapoznana zostałam z grożącymi mi sankcjami i te pe.

Zdarzyło mi się już t r z y k r o t n i e, że **Państwowy Zakład Ubezpieczeń** przysłał weksle do obowiązkowych opłat ubezpieczeniowych za samochód z kwotami zawyżonymi na korzyść PZU. Ja w żadnym z trzech wypadków roztargnień nie mogłam odnieść się do PZU tak, jak do mnie odnieśli się kontrolerzy z MPK i poczty.

2.

Każdy z nas, obywateli, pozostaje na co dzień w obowiązkowej zależności finansowej od szeregu instytucji. Instytucje te, broniąc swoich interesów finansowych, rozwinęły ostry system kontroli nad nami, obywatelami — czy przypadkiem komuś z nas nie zechce się którejś to instytucji nadużyć, wykiwać, oszukać. Rozumiem więc bezwzględność stanowiska kontrolerów z MPK i poczty, ponieważ przykra to prawda, ale zdarzają się między nami obywatelami również i oszuści. Zresztą, w finansach musi być porządek. Dwa razy dwa nie może równać się pięć. Dlatego, kiedy płacę z jednodniowym opóźnieniem za radio i TV, płacę też karę — nie za jeden dzień zwłoki — lecz za zwłokę w ogóle. No i prawidłowo. Rygorystycznie, bez apelacji, lecz słusznie.

Prawidłowe jest też zapewne założenie wszystkich instytucji, że każdy z nas, obywateli, może okazać się oszustem. Stąd, zanim załacę, już mnie straszą, co mi zrobią, jeżeli się spóźnię z opłatą, zapomnę, omylę się i te pe.

Mój znajomy trzykrotnie otrzymywał od PZU nakazy płatnicze grożące komornikiem, w razie ich natychmiastowego niezapłacenia, za samochód... którego od trzech lat nie posiadał. Nie posiadał, bo sprzedał. Nie posiadał, bo nie kupił sobie już nowego. Trzykrotnie zwalniał się z pracy, aby pojechać do PZU wyjaśniać sprawę, trzykrotnie pani z PZU robiła w dokumentacji urzędowej adnotację i... nakaz płatniczy przyszedł po raz czwarty. Istne perpetuum mobile. A podobno perpetuum mobile to utopia.

Ja mam też bogate doświadczenia z PZU. Oto one:

**Rok 1975, m a r z e c.** W tym roku wchodzi w życie nowy system ubezpieczeń obowiązkowych dla posiadaczy samochodów. Otrzymuję z PZU dwa weksle, pierwszy do uiszczenia w nieprzekraczalnym terminie — 31 marzec, drugi — 30 wrzesień. Pierwszy opiewa moją obowiązkową składkę na sumę 1000 złotych, drugi — identycznie. Powinnam, ufając instytucji, biec na pocztę i uiszczać, ale ja biegnę do PZU. Biegnę do PZU, ponieważ owe sumy porażają mnie swoją wielkością. Ponieważ z owych sum wynika, że mój samochód liczy nie pięć lat życia, a może zaledwie dwa miesiące, wynika też, że nie działa wykupione dobrowolnie w tymże PZU autocasco, i wynika w ogóle, że PZU okropnie wysoko się pomyliło na swoją korzyść.

W PZU tłum. Korytarz na drugim piętrze nabity. Połowa tego tłumu atakującego PZU przybiegła tu w zamiarze prostowania omyłek finansowych PZU. A więc, nie mnie jedną dotknęła omyłka PZU, lecz dziesiątki, setki innych także.

**W marcu 1975 roku pięciokrotnie biegłam do PZU** licząc, że może trafię na tłum mniej skondensowany. Ale nie trafiłam ani razu. Odstałam więc za piątym razem trzy godziny do okienka, w którym dokonano sprostowania omyłki: pierwsza rata wynosiła niewiele ponad 400 złotych, druga złotych 800. Bagatelka: gdybym zaufała PZU i uiściła się, omyłka PZU kosztowałaby mnie osiem stów. Drobiazg, prawda?

**Marzec 1976 rok.** Sytuacja analogiczna do opisanej. Tłum analogiczny do opisanego. Ale ja już się doświadczyłam: stanęłam twardo w kolejce. Odstałam swoje trzy godziny, otrzymałam weksle z wpisaną kwotą niższą od omyłkowo żądanej.

**Czerwiec 1976 rok.** Oto pan listonosz przynosi mi za pokwitowaniem odbioru pismo z PZU, z którego wynika, że: po pierwsze — jestem opornym dłużnikiem, zalegającym z opłatą drugiej raty z roku 1975, po drugie — jeżeli się nie uiszczę, w trybie natychmiastowym, to przyjdzie do mego domu pan komornik i mi zajmie to i owo, a kosztami za pana komornika będę obciążona również ja. Jednocześnie PZU załącza weksel z w p i s a n ą do zapłaty rzekomo zaległą ratą za drugie półrocze 1975 roku. Kwota zaś — przedziwna. Ani nie tysiąc złotych, jak początkowo w ramach omyłki żądało ode mnie PZU, ani osiemset złotych, jak mi PZU wpisało po mojej reklamacji, lecz: 1130 złotych. A więc trzecia wersja: 1130 zł, plus kara za zwłokę — 226 zł, plus 12 zł np. Co oznacza tajemniczy szyfr „np"? Nie wiem. Np. może być skrótem od: na przykład. Dobrze, że owe tajemnicze np. dotyczy sumy 12 złotych, bo na przykład mogłoby dotyczyć 3000 zł np.

W PZU tłumu nie było. Szczyt omyłek skończył się wraz z marcem, może nawet początkiem kwietnia, teraz już tylko takie niedobitki jak ja. Pani zabiera ode mnie wezwanie (to z groźbą komornika) i mówi coś na temat dłużników. Ja protestuję uprzejmie, że właśnie nie jestem dłużnikiem, ale okazuje się, że ta pani nie mówiła do mnie, bo ta pani mówi (do mnie):

**— Ja do pani nie mówię, więc czego się pani wtrąca.**

Postanawiam się nie wtrącać.

Okazuje się, że w mojej teczce personalnej nie i s t n i e j e ż a d e n dowód na to, że składkę opłaciłam dziesięć miesięcy temu. Okazuje się następnie, że to ja m u s z ę mieć po dziesięciu miesiącach dowód, że wpłaciłam. PZU widocznie może nie mieć. Mówię więc, już do drugiej pani, bo ta pierwsza okazała się bardzo nerwowa i przekazała pałeczkę oraz moją teczkę personalną i mnie koleżance:

— Proszę pani, ja nie muszę j u ż mieć dowodu wpłaty, to PZU musi mieć.

Ale pani twierdzi uparcie, że to ja muszę mieć, bo gdybym zapłaciła, to bym miała, i gdybym zapłaciła, to PZU by też miało, a PZU nie ma. Więc ja mówię, że na wekslach PZU nigdzie nie pisze, że mam przechowywać dowody wpłaty za składkę ubezpieczeniową, bo na przykład Elektrownia zastrzega sobie na swoich blankietach termin ich kompletowania do lat dwóch, a PZU niczego nie zastrzega, tylko przysyła pismo grożące komornikiem; ale ta pani powiada, że chociaż nie pisze, to trzeba. Więc ja się pytam: po co, w jakim celu, ponieważ jest już nowe ubezpieczenie za rok 1976 i tamto stare za 1975 nie działa, więc ja uważam, że nie muszę mieć kwitu, lecz właśnie PZU. Lecz pani tłumaczy bardzo cierpliwie, że to ja muszę.

Porozmawiawszy sobie w ten sposób, uznałam, że nasza konwersacja może przeciągnąć się do skończenia świata i wyciągam dowód wpłaty. Na sumę 800 złotych. Ten weksel najnowszy chowam przemyślnie, nie zdradzam go. Bo może PZU w ubiegłym roku omyliło się na moją korzyść i teraz właśnie pani sprawdzając mój dowód wpłaty dostrzeże omyłkę? Ale nie. Nie dostrzega. Oblicza wszystko ponownie, indagując mnie w paru kwestiach dotyczących mego dobrowolnego autocasco i okazuje się, że suma 800 złotych jest sumą faktyczną, prawidłową.

Pani mówi: **— Przepraszam!**

Stoję z głupią miną i z dylematem wciąż nie rozwiązanym: skąd się wzięła na wekslu suma 1130 złotych? Już nie chcę wiedzieć, dlaczego kara za zwłokę wynosi akurat 226 zł, plus 12 zł „np". Co to jest: 12 zł np.? Koszta manipulacyjne — odpowiada pani. A ja myślę sobie: proszę, jaka cudowna dokładność — tym razem w obliczeniach PZU, nie zapomniano nawet o „np".

Odchodzę. Nie jestem już opornym dłużnikiem. Ale czy na pewno? Mój znajomy przecież czterokrotnie wyjaśniał fakt sprzedaży samochodu, więc czy ja więcej nie dostanę nakazu płatniczego za to, co mam zapłacone?

3.

Zwracam się do kompetentych czynników kontroli, tusząc, że takowe i nad PZU istnieć muszą. **Może byście tak, panowie, skontrolowali pod względem merytoryczno-finansowym działalność PZU?** Czekać do marca roku przyszłego nie radzę. Wtedy, panowie z kompetentnych czynników kontroli nadrzędnej, nie przebijecie się przez tłum, oczekujący sprostowań omyłek PZU. Omyłek, których być nie powinno. W tak zmasowanej formie. Omyłek, na których wyjaśnianie traci się często państwowy czas, zwalniając się z godzin pracy. Omyłek, które powodują zgrzytanie zębami prostujących te omyłki.

# LISTY

### „WIOSNĄ W ANGLII"

W 26 numerze „Odgłosów" z 24. VI. br. zupełnie przypadkowo natrafiłem na reprodukcję mojej grafiki, która — jak sądzę z jej umieszczenia — miała za zadanie wypełnić szpaltę. Argumentem przemawiającym za słusznością tego twierdzenia jest fakt, że artykuł, który „zilustrowano" moją pracą, dotyczył pobytu studenckiego teatru „Pstrąg" w Wielkiej Brytanii („Wiosną w Anglii"), zaś tytuł grafiki, skwapliwie zresztą pominięty, brzmiał: „Boruta". Nie podano również nazwiska autora pracy.

Śmiem twierdzić, iż Panowie Redaktorzy spodziewali się, że „przemycony" przez nich materiał w publikowanej wersji nie zostanie rozpoznany przez właściciela, bądź w ogóle do niego nie dotrze.

Ponieważ sytuacja taka nie zdarza się po raz pierwszy, chciałbym, aby Redakcja była łaskawa wyjaśnić, dlaczego nie poproszono mnie o zgodę na umieszczenie mojej grafiki w „Odgłosach" i pominięto tytuł pracy oraz nazwisko autora?

Kończąc, pragnę dodać, że jako członkowi ZPAP bliska mi jest sprawa upowszechniania sztuki, ale życzyłbym nie tylko sobie, ale przede wszystkim Redakcji „Odgłosów", by upowszechnianie to nie odbywało się kosztem naruszania praw autorskich oraz łamania etyki i zasad kultury współżycia.

**ANTONI WIRKANOWICZ**
**Zgierz**

**OD REDAKCJI: Istotnie: w numerze 26 „Odgłosów" reportaż Tomasza Soldenhoffa zilustrowano grafiką Antoniego Wirkanowicza. Grafika ta ukazała się bez podpisu, za co autora serdecznie przepraszamy.**

**Nie możemy natomiast zgodzić się z insynuacjami, jakie snuje na temat redakcyjnych praktyk Antoni Wirkanowicz. Otóż, zgodnie z jego prośbą, wyrażoną w liście skierowanym do redakcji, który powyżej publikujemy — „łaskawie" wyjaśniamy, że art. 20 „ustawy z dnia 10 lipca 1952 r. o prawie autorskim" zezwala na reprodukowanie utworów plastycznych już publikowanych w katalogach lub innych wydawnictwach. Dlatego nie musieliśmy prosić A. Wirkanowicza o zgodę. Natomiast nazwisko autora zostało pominięte przez nieuwagę, a nie z przewrotnych powodów, jakie próbuje nam imputować autor listu. Za to przeoczenie jeszcze raz przepraszamy.**

# KULTURA

MIROSŁAW KUŹNIAK

## ZAWÓD BIBLIOTEKARZ

Zawód bibliotekarza jest równie stary jak zbiory książek. Sama jednak nazwa pochodzi prawdopodobnie z drugiej połowy XIX wieku. Wcześniej bibliotekarzy różnie nazywano. Praca w bibliotekach traktowana była jako zajęcie uboczne, najczęściej na zasadzie uzupełnienia właściwej pracy naukowej.

Trzydzieści lat temu wydany został pierwszy w dziejach polskiego bibliotekarstwa akt prawny określający biblioteki i ich zbiory jako mienie służące dobru ogólnemu. Była to nobilitacja placówek zajmujących się gromadzeniem książek, a także samego zawodu bibliotekarskiego. Od tej pory ciągle rośnie liczba osób zatrudnionych w bibliotekach.

Według niektórych danych na pełnych etatach pracuje w polskich bibliotekach około 35 tysięcy osób. Dane te nie są jednak kompletne, bowiem nie uwzględniają ani bibliotek szkolnych, prowadzonych najczęściej przez nauczycieli przedmiotów humanistycznych, ani bibliotekarzy zatrudnionych na półetatach. Samych zaś bibliotek szkolnych jest bez mała 30 tysięcy.

Do niedawna uważano, że zawód bibliotekarza nie wymaga jakichś specjalnych kwalifikacji. Dziś nikt już tak nie myśli. Doc. dr **Bolesław Świderski,** dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej, wymienił aż kilkanaście funkcji bibliotekarskch. Od najprostszych, usługowych, a więc gromadzenia książek, katalogowania, opracowywnia rzeczowego aż po wypożyczanie międzybiblioteczne, udzielanie porad i informacji naukowych. To wszystko zaś wymaga konkretnych kwalifikacji bibliotekarskich. Dotyczy to zwłaszcza pracowników bibliotek uniwersyteckich. Toteż w tych placówkach nie dziwią ludzie z wykształceniem ekonomicznym, prawniczym, matematycznym. Tu potrzeba specjalistów w określonych dziedzinach wiedzy.

A przecież samo bibliotekoznawstwo stało się samodzielną dyscypliną naukową, obejmującą tak szczegółowe działy, jak bibliologia, a w tym historia książki, księgarstwa, informacji naukowej, dokumentacji. Ale nawet najdoskonalszy bibliotekarz jest bezradny wobec wciąż rosnących zbiorów. Nadszedł moment, a raczej nadejdzie, bo dla wielu placówek jest to sprawa przyszłości, w którym bibliotekarzom pomagać zaczyna komputer, kodujący informacje, wyszukujący ich i udzielający o wiele szybciej i sprawniej niż zrobiłby to człowiek. Choć powszechne zastosowanie komputerów w placówkach bibliotecznych jest obecnie niemożliwe, to jednak wciąż rosnące półki z książkami już teraz stwarzają trudne sytuacje. Nawet ciągłe powiększanie kadry bibliotekarskiej nie polepszy obecnego stanu. Zresztą z tym powiększaniem kadry to też nie jest prosta sprawa. Ludzi z wysokimi kwalifikacjami wciąż brakuje. W Łodzi zaś jest to najwidoczniejsze. Dopiero przed rokiem powołano w **Uniwersytecie Łódzkim** zakład informacji naukowej i bibliotekoznawstwa, którego kierownikiem jest doc. B. Świderski. Na pierwszym roku studiowało 50 osób. W tym roku przyjętych zostanie dalszych 50 studentów. Czy to rozwiąże problem braku kwalifikowanej kadry bibliotekarskiej w naszym mieście? Obawiam się, że nie rozwiąże, tym bardziej że pierwsi absolwenci opuszczą uczelnię dopiero za 4 lata.

Potrzeby są duże, a rynek bibliotekarski jest naprawdę chłonny. Na przykład powstaje **nowa biblioteka Akademii Medycznej.** Za rok będzie gotowa do przyjęcia 30 pracowników, oczywiście tylko wysoko kwalifikowanych. Poza tym wciąż rozbudowują się już istniejące biblioteki. Przykładem może tu być **Biblioteka Uniwersytecka,** która w tej chwili posiada, wliczając w to zasoby bibliotek zakładów naukowych, półtora miliona woluminów. A zbiory wciąż będą rosły, bo rośnie rokrocznie produkcja wydawnicza wielu krajowych oficyn. Rosną także zbiory trzydziestu łódzkich instytutów naukowych. Tam są szczególnie potrzebni pracownicy informacji naukowej, a więc znów wysoko kwalifikowana kadra bibliotekarzy. Czy ten deficyt pokryją przyszli absolwenci łódzkiego zakładu informacji naukowej i bibliotekoznawstwa?

Zaczęło, po pewnej przerwie w latach 1969—1970, działać w Uniwersytecie Łódzkim **Międzywydziałowe Studium Bibliotekoznawcze.** Kandydaci do tego studium rekrutowali się głównie ze studentów kierunków humanistycznych. Absolwenci, obok dyplomu magisterskiego z głównego kierunku, otrzymywali równocześnie dyplomy uprawniające ich do podejmowania pracy w placówkach bibliotecznych. Ale ta forma zdobywania dodatkowych kwalifikacji nie cieszyła się zbytnim zainteresowaniem studentów. Tym dziwniejsza to sprawa, bo dla nikogo nie jest tajemnicą, że wielu absolwentów filologii polskiej czy historii nie może dostać pracy w swoim zawodzie, gdy tymczasem w bibliotekach przyjęto by ich z otwartymi ramionami.

Niezależnie od tego Międzywydziałowe Studium przyjmowało na pierwszy rok ludzi już po studiach, którzy znaleźli pracę w bibliotekach. Między innymi także w ten sposób ułatwiano im zdawanie egzaminu państwowego na bibliotekarza dyplomowanego, bowiem wśród bibliotekarzy obowiązuje podział na służbę biblioteczną i bibliotekarzy dyplomowanych. Ci ostatni mają dość istotne przywileje. Pracują sześć godzin, mają prawa nauczycieli akademickich i posiadają większe uprawnienia emerytalne. Ale nawet te dodatkowe bodźce nie pomogły i Studium powoli, acz nieuchronnie, zaczyna umierać śmiercią naturalną.

To, co dotychczas napisałem, dotyczy przede wszystkim bibliotek wyżej zorganizowanych, a więc naukowych, uniwersyteckich. Pamiętajmy jednak o tym, że spośród 35 tysięcy zatrudnionych w bibliotekarstwie, prawie 14 tysięcy to pracownicy bibliotek publicznych, rejonowych, dzielnicowych, młodzieżowych, przyzakładowych. Z kształceniem tej średniej kadry bibliotekarskiej jest w naszym mieście jeszcze gorzej. Pracownicy ci mają zupełnie inny zakres działania. Są przede wszystkim popularyzatorami książek. Organizują spotkania literackie, prowadzą koła miłośników książki, uczestniczą we wszystkich akcjach oświatowych.

Trudniejsze, moim zdaniem, zadanie mają biblioteki przyzakładowe, które najczęściej, obok pracy w głównej placówce prowadzą także kilka punktów bibliotecznych na terenie fabryk. Ci ludzie muszą mieć nie tylko kwalifikacje bibliotekarskie, ale także kulturalno-oświatowe. Działało przez chyba siedem lat na terenie Łodzi Państwowe Studium Kulturalno-Oświatowe i Bibliotekarskie. Działało, ale już nie działa. Zostało zlikwidowane. Doc. dr Bolesław Świderski twierdzi, że reaktywowanie tego Studium jest jednym z podstawowych dezyderatów środowiska bibliotekarskiego Łodzi. Bo któż w końcu ma kształcić średnią kadrę łódzkich bibliotekarzy? Uniwersytet?

Argumentów przemawiających za reaktywowaniem tej instytucji jest dużo. Ani ja, ani moi rozmówcy, nie upieramy się przy obowiązującym w przeszłości profilu tego Studium. O tym, że jest ono potrzebne, świadczy coraz większa liczba nowo otwieranych placówek bibliotecznych w nowych osiedlach. Prawie zawsze występują tam kłopoty z kwalifikowaną, kadrą bibliotekarską. Ten wynek jeszcze długo będzie chłonny. I dlatego trzeba jak najszybciej rozwiązać problem kształcenia nowych kadr bibliotekarskich. Te środki, które stosuje się obecnie, a więc kursy i szkolenia, są jedynie namiastką nie rozwiązującą rzeczywistego problemu, jakim jest stały dopływ średniej kadry do placówek bibliotecznych.

## NA MARGINESIE

RYSZARD BINKOWSKI

# POŻEGNANIE TATY

W późny styczniowy wieczór dziesięć osób siedziało za stołem i ze łzami w oczach popijało gorzałkę. Łzy i wóda mieszały się na tę okoliczność, że wszyscy żegnali tatę, który wyjeżdżał na głębokie zaplecze zgniłego kapitalizmu.

— **Jak ojciec nie zginie — szeptał syn Jasio — to niech ojciec o nas tam wspomni.**

— **Kiszka w puszkach dla psów jest tam tania i smaczna** — doradzała synowa Mila, osóbka młoda, lecz kuta na cztery nogi. — **Zaoszczędzi tata, podeśle jakieś majtole, rajstopki, a my już nie zapomnimy.**

— **No to chlup, pod kapitalizm!**

— **I za ojca! Żeby go nie zżarła tęsknota.**

— **Bo za mało wyrobi** — szeptał zjadliwie ospowaty zięć.

Temperatura pożegnania wzrastała, rzewność tryskała wszelkimi szparami, chronolitraż wskazywał dwa metry na godzinę, lecz żal i rozpacz nadal nie dawały się utopić.

Syn Jasio tak się tym rozstaniem rozczulił, że postanowił wypić przyniesione przez siebie pół basa, a stratę zrównoważyć odpowiednią wartością gorzałki pożegnalnej. Małżonka jego, zuchwała Mila, była mniej wydajna, przeto jej pojemność wyniosła zaledwie zero cztery dziesiąte litra.

I wybiła godzina rozstania, czyli pierwsza w nocy, i pośród łez i pomlaskiwań, i strzałów z dubeltówki Jaś z Mila pożegnali ojca.

Szli pod latarniami nocnymi i śpiewali nieskładnie: **„Do widzenia, tata, canto cantare, kup nam fiata, tata, na lata stare".**

Na ulicy Śniadeckiego, wedle „Argedu". Jasio zakrztusił się w śpiewie, bo mu pęcherz skoczył do gardła.

— **Drałuj, Mila, do postoju** — wycharczał — **ja się idę odcedzić...**

— **P... p... pro... szę bardzo** — odparła Mila. — **Oporządź się, oporządź, bo akurat pościel zmieniłam.**

Jasio wlazł za blok, a Mila, odepchnąwszy się od latarni, ruszyła slalomowym galopem w dół ulicy.

2.

Kitek z Sieczką wydoili u kolegi Makówki cztery butle wina marki „Wino" i z pełnymi bakami zostali wykopsani przez Makówki żonę na ulicę. Błąkali się w nocy ciemnej, jak bezpańskie psy, baki nieco wypróżnili, trza było wiec dopełnić, przeto poszli na piwo do karolewskiego baru. Ale nieżyczliwa obsługa też ich wykopsała, albowiem pora na browar była zbyt późna.

Rozgoryczeni powlekli się w niewiadomym kierunku, aż dotarli do ulicy Śniadeckiego, Kitek, któren był napompowany mniej, dostrzegł trzeźwym okiem jakieś coś ciemnego, leżące między siatką i chałupą przy ogólniaku.

— **Mikołaje posiali podarki** — stwierdził pewnym głosem Sieczka.

— **Zbieramy?**

— **Szkoda fatygi, pewnie plastykowa tandeta.**

Ale podeszli.

I wtedy okazało się, że to coś ciemnego, to nie był podarek, jeno chłop leżący w kożuchu, czyli pan Jasio, o czym jeszcze nie wiedzieli.

Kitek pochylił się, szarpnął go za ucho i spytał:

— **Panie, a dlaczego pan tu leży?**

— Won! — jęknął pan Jasio. — **Mój dom, moje łóżko, moja wola.**

Natenczas spoza bloku wyłoniła się postać kobieca w płaszczu z kołnierzem i w puchowej czapce. Kobieta ta, poprawiając część garderoby po odcedzeniu, krzyknęła bełkotliwym głosem:

— **A co wy przy moim tak majstrujecie?**

I bez namysłu, lecz po zdjęciu rękawiczek, huknęła w gębę ogłupiałego Sieczkę. Na to pan Jasio uniósł się i spytał:

— **To wy sie znacie?**

— My? — Sieczka wskazał na Kitka.

— **Czy znasz te kobietę, się pytam.**

— **Jak mi dała w mordę, to już ją znam.**

— **No to sobie pogadajcie, a my się przejdziemy z kolegą** — ujął pod ramię Kitka i poszli, a w trakcie chwiejnego spaceru Jasio indagował Kitka.

— **Znasz Słupka?**

— **Nie znam.**

— **A znasz wuja?**

— **Znam.**

— **To pocałuj go... Mnie też znają, nikt Kaszany w tej dzielnicy nie złamie! Ja niczego się nie boję, choćby blacharz, to dostoję!**

Aż z tyłu słychać krzyk:

— **No, bij mnie, jeszcze mnie bij!**

Zawrócili i widzą, że w półmroku ulicy rozgorzała zacięta walka. Zuchwała Mila włos miała rozwiany, bo zgubiła czapkę, a wokół jej szyi łabędziej fruwał oderwany niemal do końca kołnierz. Znikła gdzieś jej torba, nie miała czym walić, przeto rwała się z gołymi pazurami do Sieczki, bo rękawiczki również zgubiła.

Sieczka rzucił jej szalikiem w twarz i odszedł. Ale Kaszana wystąpił w obronie żony, lecz pod naporem skomasowanych sił Sieczki i Kitka, czmychnął. Nie wiadomo, jakim cudem po kilku minutach znów się spotkali, tylko na innej ulicy.

— **Gdzie się, gnoje, pchacie!** — wrzasnęła zuchwała Mila.

— **Tylko nie gnoje!** — zdenerwował się Sieczka.

— **Bij, Kaszana, bij, bo po toś mnie brał!** — zawyła histerycznie Mila.

I Kaszana z furią rzucił się na spokojnych obywateli, wobec czego wystąpili oni w obronie własnej, to znaczy powalili Kaszanę na ziemię i sflekowali. Najwięcej kłopotu było z nogą Sieczki, którą trzymał w szponach leżący Kaszana. „Po wyrwaniu nogi" odeszli, zamknęli się w komórce u Kitka i przez kwadrans medytowali, kogo to mogli sflekować.

3.

O godzinie drugiej w nocy pod dworzec PKP zajechał wezwany przez Milę radiowóz MO. **„Penetracja terenu nie ujawniła napastników".** Ale żadnych części odzienia również nie znaleziono

— **A gdzie jest ten zabity, pokrwawiony mąż?** — wpadł w gniew milicjant z radiowozu.

— **Jakżeśmy wracali po tych krwawych jatkach** — wyjaśniała Mila — **wyszła z boku kobieta, poprosiła nas do środka i pomogła mężowi umyć się.**

— **Gdzie to było?**

Tego Mila za Chiny nie mogła sobie przypomnieć.

— **A gdzie on teraz jest, ten mąż?**

— **Pojechał taksówką do domu.**

Milicjant pokręcił z niedowierzaniem głową, a Mila szybko zapodała, co następuje:

— **Mąż sikał za blokiem, ja szłam dalej ulicą, a naprzeciw mnie wlokło się dwóch długowłosych w ciemnych kurtkach ortalionowych. Chciałam ich wyminąć, lecz mi zastąpili drogę i chichocząc wykręcili ręce do tyłu, ściągnęli z palca obrączkę wartości pięciu tysięcy złotych, pobili nas strasznie, mnie szczególnie kopiąc w wątrobę, po czym uszli w nieznanym kierunku.**

Nazajutrz uczciwy znalazca odniósł do mieszkania Mili torbę. Innych rzeczy nie znaleziono. Natomiast specjalista od medycyny sądowej doszukał się na kończynach górnych i dolnych małżonków Kaszana sińców i otarć naskórka. Śladów zdzierania obrączki z palca nie ujawniono.

Sieczka z Kitkiem też mieli podrapane buzie, ale oni nie poddali się z miejsca obdukcji, toteż zdążyli się podgoić.

Cała ta historia jest jeszcze jednym dowodem braku zainteresowania ze strony rodziców własnymi dziećmi. Gdyby bowiem chciwy ojciec nie pchał się w ten cholerny kapitalizm, nie byłoby pożegnania taty i jego dzieci żyłyby dotąd całe, zdrowe, zgodnie i szczęśliwie.



## PIŁKA NOŻNA

# CO DALEJ PO MONTREALU?

**6 lipca 1974 roku w Monachium spotkały się drużyny piłkarskie Polski i Brazylii. W 77 minucie tego meczu Grzegorz Lato strzelił bramkę, w wyniku której Polska drużyna piłkarska została trzecią, srebrną drużyną świata. W historii polskiej piłki nożnej był to sukces ogromny. Jednym z twórców tego sukcesu był KAZIMIERZ GÓRSKI.**

Kazimierz Górski objął opiekę nad polską reprezentacją piłkarską z początkiem 1971 roku. Po roku pracy z kadrą, w swojej książce — pamiętniku „Z ławki trenera", pod datą 29 stycznia 1972 roku, zanotował:

**„Oto najważniejsze wnioski do jakich doszedłem. Po pierwsze — nie należy bać się eksperymentowania zwłaszcza wobec braku wyraźnego postępu w grze zespołu. Stawiać trzeba nie na nazwiska, ale na aktualną formę poszczególnych zawodników. Po drugie — nie można budować formy zespołu tylko na teoretycznych wyliczeniach, ale nieustannie ją sprawdzać w grach kontrolnych. Po trzecie — należy zwracać uwagę także na takie czynniki, jak samopoczucie piłkarzy i ich stosunki rodzinne. Trzeba wytwarzać atmosferę wzajemnego zaufania między trenerem a zawodnikami, w której będzie stać ich na szczerość i zgłoszenie swej niedyspozycji jeśli np. nie będą czuli się na siłach zagrać, zwłaszcza w meczach o wysoką stawkę. Po czwarte — dobry zespół nie może być wypadkową różnych dążeń i tendencji. Potrzebny mu jest jasno określony cel (na przykład zakwalifikowanie się na olimpiadę), do którego zgodnie dążą wszyscy jego członkowie, a także program, którego realizacja cel ten może przybliżyć. Po piąte — konieczny jest „bank informacji", aby poznać możliwie jak najlepiej przeciwnika i ustalić najwłaściwsze założenia taktyczne, umożliwiające odniesienie nad nim zwycięstwa."**

Było to zwięźle wyłożone credo trenera polskiej reprezentacji. Program jego działania, który przyniósł nadspodziewanie dobre rezultaty. Polska reprezentacja stała się rewelacją i zakończeniem X Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej.

W lipcu tego roku zorganizowany został Turniej Trzydziestolecia. W reprezentacji Warszawy zagrało w tym Turnieju 10 zawodników „srebrnej drużyny", a wśród nich przede wszystkim rezerwowi z mistrzowskiego turnieju w RFN. Reprezentacja Warszawy uległa we Wrocławiu reprezentacji Moskwy 0:3. Była to pierwsza porażka polskich piłkarzy po X Mistrzostwach Świata.

We wrześniu 1974 roku rozpoczęły się eliminacje do kolejnych Mistrzostw Europy. Polska drużyna znalazła się w grupie eliminacyjnej razem z Finlandią, Holandią i Włochami. Pierwszy mecz z Finlandią reprezentacja Polski rozegrała we wrześniu 1974 roku i wygrała go wynikiem 2:1. Ale styl gry polskiej reprezentacji nie mógł nikogo zadowolić.

Również we wrześniu 1974 roku reprezentacja Polski rozegrała dwa mecze towarzyskie. Przegrała z reprezentacja NRD 1:3 i z Francją 0:2. Wtedy właśnie Kazimierz Górski podjął pierwszą swoją „męską decyzję". Decyzję tę następująco uzasadnił:

**„Bohaterowie z mistrzostw świata wyraźnie nie są w formie. Trudno mówić obecnie, że są zmęczeni. Wydaje się, że spoczęli na laurach i przestali intensywnie pracować w klubach. Ponieważ w reprezentacji nikt nie ma stałego etatu zdecydowałem się na radykalne zmiany. Postanowiłem oprzeć drużynę narodową na zespole mistrza Polski chorzowskim Ruchu, którego to zawodnicy jako jedyni chyba w kraju pracują obecnie prawdziwie solidnie.**

**Znaleźliśmy się w dość dziwnej sytuacji. Na mistrzostwach świata nasi reprezentanci spisali się doskonale. Mieliśmy znakomity zespół, z którego teraz, dzięki lekkomyślności zawodników zostały tylko słabe ślady.**

**Mamy w Polsce wielu utalentowanych piłkarzy, którzy są w stanie spełnić nasze nadzieje nawet w meczach z trudnymi przeciwnikami."**

Przemeblowanie drużyny pomogło jednak nie na długo. W październiku rewanż z Finlandią przyniósł wprawdzie kadrze narodowej Polski wynik 3:0. Zwycięstwo przyniosły też mecz towarzyski z reprezentacją Kanady. Ale już spotkanie z drużyną CSRS remis 2:2.

Tylko z kronikarskiego obowiązku należy odnotować jeszcze towarzyski sukces w meczu z drużyną USA 7:0. Potem bowiem przyszła druga tura rozgrywek eliminacyjnych do Mistrzostw Europy i remis z Włochami 0:0. W miesiąc później w towarzyskim meczu z NRD kolejne zwycięstwo: 2:1.

Tournee po USA i Kanadzie przebiegło pomyślnie. Polska drużyna odnosiła tam sukcesy. Można byłoby sądzić, że „srebrna jedenastka" przypomniała sobie dobre czasy i wróciła do formy. Taki wniosek potwierdzał wielki sukces w Chorzowie w meczu eliminacyjnym z Holandią — 4:1 i zwycięstwo nad Węgrami 4:2. I nagle na głowy kibiców, piłkarzy i działaczy sportowych wylały się tony zimnej wody. Klęska w Amsterdamie — 0:3. Remis w Warszawie z Włochami 0:0. Żegnaj Mistrzostwo Europy.

Pod koniec 1975 roku Kazimierz Górski mówił:

**„Sprawa reprezentacji to zagadnienie bardzo złożone. W ostatnim czasie polska drużyna osiągnęła pewne wyniki, miała sukcesy, a teraz nagle coś się zepsuło. I stąd cała dyskusja. Czy nadchodzi zmierzch naszego zespołu? Skąd się biorą takie obawy? Chciałbym zwrócić uwagę na jeden szczegół. Dzisiaj już nie mówi się: reprezentacja Polski, ale — nasza drużyna. A to już coś znaczy.**

**Preferowaliśmy ofensywny styl gry i dalej będziemy tak robić. Wiemy, na czym to polega. A to, że nas inni rozszyfrowali, to nie takie znów straszne, bo i my innych także rozszyfrowaliśmy. Doszło jednak do tego, że ci sami zawodnicy, którzy grali na mistrzostwach świata, teraz zaczynają grać gorzej. Jaka jest przyczyna? Może nie są w stanie już sprostać nowym zadaniom. Nie mówię, że dotyczy to wszystkich zawodników, ale niektórych na pewno tak.**

**Piłkarze nie zapomnieli jak mają grać, oni to wiedzą, ale czasem nie są w stanie. To znaczy, że trzeba szukać lepszych od nich.**

**W zespole musi być rotacja, nie może być „etatów". Musi być rywalizacja. Ale to trzeba robić na zasadzie ewolucji a nie rewolucji".**

Ewolucja nie przyniosła jednak oczekiwanych rezultatów. Przegrany mecz z Francją wykazał, że kryzys w polskim zespole trwa nadal. Wtedy Kazimierz Górki zdecydował sie na drugą „męską decyzję". Postawił poza reprezentacja gwiazdy polskiej piłki nożnej: Jerzego Gorgonia, Kazimierza Dejnę, Kazimierza Kasperczaka i Andrzeja Szarmacha.

W maju 1976 roku Kazimierz Górski mówił:

**„Wiem na pewno, że są to ryzykowne decyzje. Czy je przemyślałem? Tak, i to bardzo! Sam stawiałem sobie pytania i sam na nie usiłowałem odpowiedzieć.**

**Reprezentacja osiągnęła taki kryty punkt, że innego wyjścia jak ostre cięcia kadrowe nie było. Bierna postawa większości zawodników w meczu z Francją przebrała miarkę. To 0:2 w Lens było dla mnie ostatnim dzwonkiem alarmowym."**

Sytuacja jaka powstała skłoniła trenera reprezentacji do głębszej refleksji:

**„Czowiek czasem zapomina, że złoty medal olimpijski i srebrny na mistrzostwach świata, to już historia. W sporcie liczy się tylko dzień dzisiejszy i najbliższa przyszłość. A to wymaga coraz lepszych zawodników i szukania stale innych rozwiązań taktycznych."**

Przegrane mecze z Grecją i Szwajcarią pokazały, że już za późno na tworzenie nowej drużyny. Nie pomoże już ani rewolucja, ani na ewolucję nie ma czasu. Trzeba było powrócić do składu sprzed dwu lat, trochę tylko zmodyfikowanego, przeprosić „starych" i mieć nadzieję, że zechcąc jeszcze zagrać na montrealskim stadionie.

Po przygotowaniach w Zakopanem i po meczach sparringowych trener polskiego zespołu miał jeszcze nadzieję.

**„Możemy grać zupełnie nieźle. Wiele błędów, popełnionych w czasie sparringów na pewno nie powtórzy się w Montrealu. Poza tym w Zakopanem usiłowaliśmy trochę wzbogacić nasz sposób gry. Chodzi o to, że czasem gramy zbyt prosto. Bez tak zwanych podsion, bez finezyjnych zagrań. Przygotowaliśmy więc na Montreal kilka nowych, drobnych ulepszeń, polegających na wycofywaniu piłki piętą do nadbiegającego partnera czy też na zdobywaniu przewagi pozycyjnej w pewnym rejonie boiska."**

Po pierwszym meczu rozegranym w Montrealu z Kubą okazało się, że nie pomogły żadne „sztuczki", żadne wycofywanie piłki piętą. Wtedy Kazimierz Górski zdobył się na kilka gorzkich słów:

**„Każdy grał tak, jak mu wygodniej. Okazało się, że mamy w zespole za dużo „profesorów", którym wydaje się, że posiedli już wszystkie piłkarskie umiejętności. Gra naszych zawodników w tym meczu przypominała mi występ oldboyów. Chyba więc nie w przygotowaniu leży przyczyna tak słabej postawy, lecz raczej w sferze psychicznej."**

Potem przyszły zwycięstwa w meczach z Iranem i Koreą. Wprawdzie drużyna nie zachwycała swą grą, ale przynajmniej nie musiała pakować walizek i wracać do kraju. Jednak Kazimierz Górski ma jej już dość. W wywiadzie dla **„Literatury"** oświadczył:

**„Miałem propozycję z kilku klubów holenderskich, zachodnioniemieckich, a nawet z Południowej Ameryki. Odmówiłem, w każdym razie do Olimpiady. Po Olimpiadzie zobaczymy."**

I w **„Piłce Nożnej"**:

**„Jestem konsekwentny w działaniu. Dwa lata temu powiedziałem, że na Olimpiadzie w Montrealu kończę pracę z reprezentacją i zdania nie zmieniłem. Mam swoje plany życiowe. Chciałby się sprawdzić w innych warunkach. Wbrew pozorom i wbrew temu, co wynika z mojej mimy, praca z reprezentacją jest bardzo denerwująca i niszczaca siły. Teraz nie czas na rozwijanie tego tematu, ale po Igrzyskach w Montrealu możemy poświecić mu więcej miejsca. Zresztą wydaje mi się, że odejście od reprezentacji na pewien dystans zaostrzy na nią spojrzenie i pozwoli dokładnie zobaczyć pewne problemy."**

A więc niezależnie od tego, co osiągną polscy piłkarze w Montrealu, najważniejszym dziś pytaniem jest: **CO DALEJ PO MONTREALU?**

Oprac. B. MADEJ

# U PRZYJACIÓŁ

**NRD**

W Berlinie opublikowano komunikat Państwowego Urzędu Statystycznego o wynikach realizacji narodowego planu gospodarczego w pierwszym półroczu br. Z opublikowanych danych wynika, iż w okresie sprawozdawczym nastąpił dalszy dynamiczny rozwój gospodarki narodowej tego kraju. Wytworzony dochód narodowy wzrósł o 5 proc. w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku.

Komunikat podkreśla pomyślną realizację planów podnoszenia jakości produkcji i wprowadzania do niej nowych wyrobów. Plany te zostały wykonane, a w wielu przypadkach nawet przekroczone. W zakładach przemysłu kluczowego znacznie szybciej niż ogólna produkcja przemysłowa wzrastała w pierwszym półroczu br. produkcja wyrobów z najwyższym znakiem jakości Q. Pomyślne wyniki gospodarcze, zwłaszcza we wprowadzaniu postępu naukowo-technicznego, podnoszeniu jakości produkcji i w gospodarce materiałowej, dała realizacja postanowień o doskonaleniu systemu zarządzania przedsiębiorstwami.

Pomyślnie przebiegała także realizacja planów inwestycyjnych w resorcie oświaty. Oddano do użytku m. in. ponad 7,9 tys. nowych miejsc w przedszkolach, 934 sale lekcyjne w szkołach i 59 sal gimnastycznych. Ok. 99 proc. młodzieży podlegającej obowiązkowi nauki w szkołach zawodowych zdobyło kwalifikacje zawodwe.

**RRL**

Rumuński tygodnik „Lumea" w numerze z 15 lipca zamieścił artykuł na temat wyrównania poziomu rozwoju gospodarczego poszczególnych państw. Tygodnik podkreśla, że zmniejszenie, a w przyszłości likwidacja, wyraźnej nierówności poziomów rozwoju gospodarczego państw stanowi obiektywną konieczność oraz jest najważniejszym problemem gospodarczym i politycznym od którego zależy pokój i postęp na świecie. Utrzymanie podziału świata na kraje uprzemysłowione i słabo rozwinięte jest przeszkodą na drodze uczestnictwa wszystkich państw, na jednakowych zasadach ekonomicznych, w międzynarodowej wymianie dóbr, wywołuje nieufność oraz stanowi stałe źródło napięcia na płaszczyźnie międzynarodowej.

Podkreślając, że każdy naród ponosi odpowiedzialność za likwidację zacofania, „Lumea" pisze o znaczeniu współpracy międzynarodowej na zasadzie sprawiedliwości, wzajemnej korzyści i materialnego poparcia. Równocześnie podkreśla się konieczność popierania państw zacofanych przez kraje rozwinięte.

Opowiadając się za likwidacją słabego rozwoju i za utrwaleniem nowego ładu gospodarczego, Rumunia opiera się na odpowiedzialnej misji jaka spoczywa na krajach socjalistycznych na arenie światowej i na roli państw socjalistycznych, jaką odgrywają one w poparciu udzielanym w duchu bojowej solidarności walce i wysiłkom krajom rozwijającym się zmierzającym do likwidacji spuścizny imperialistycznej polityki. Zdaniem Rumunii — pisze „Lumea" — kraje socjalistyczne powinny wnosić wkład w rozwiązanie głównych problemów gospodarczych i politycznych świata oraz w stworzenie nowego międzynarodowego ładu gospodarczego.

Rozpatrując wszystkie złożone problemy polityki światowej należy opierać się na zasadach pokojowego współistnienia między krajami o różnych ustrojach społecznych, na konieczności aktywnej współpracy między państwami w celach rozwiązania tych problemów zgodnie z nowym duchem. Nowy ład gospodarczy polega m. in. na likwidacji starych stosunków niesprawiedliwości, imperialistycznej polityki kolonialnej i neokolonialnej oraz na ustanowieniu nowych stosunków międzynarodowych opartych na pełnej równości, poszanowaniu niezawisłości i suwerenności narodów.

**CSRS**

Placówki naukowe Czechosłowackiej Akademii Nauk są zespołowymi członkami 84 międzynarodowych i zagranicznych organizacji naukowych. Akademia uczestniczy m. in. w realizacji takich programów naukowych UNESCO, jak „Człowiek i biosfera", program hydrobiologiczny, międzynarodowy program geologiczny oraz działalności europejskiego ośrodka do spraw wykorzystania czasu wolnego i oświaty. Uczeni czechosłowaccy aktywnie współpracują ze Światową Organizacja Zdrowia, z Międzynarodową Agencją Energii Atomowej oraz z Organizacją d.s. Wyżywienia i Rolnictwa przy ONZ. Czechosłowacka Akademia Nauk jest także członkiem Międzynarodowej Rady Towarzystw Naukowych i jej 15 związków i komitetów. Członkami międzynarodowych organizacji naukowych jest 240 uczonych czechosłowackich.

**6 maja 1937 roku na amerykańskim lotnisku wyleciał w powietrze gigantyczny sterowiec „Hindenburg", duma nazistowskich Niemiec, symbol wielkości ówczesnej Trzeciej Rzeszy. Gorączkowe śledztwo, prowadzone wyjątkowo opieszale, nie wyjaśniło przyczyn katastrofy, zrobiono bowiem wszystko, żeby sprawę szybko zatuszować. Wybuch pożaru na sterowcu przypisano „wyładowaniu elektryczności statycznej".**

Prawdziwe fakty wybuchu bomby na „Hindenburgu" udało się ustalić trzydzieści kilka lat później amerykańskiemu dziennikarzowi Michaelowi M. Mony. Ze względu na interesujące szczegóły tego sensacyjnego w owych czasach wydarzenia, relację amerykańskiego dziennikarza zamieszczamy bez skrótów, w dwóch kolejnych odcinkach.

SENSACJE LAT TRZYDZIESTYCH

# Tajemnica eksplozji na sterowcu „Hindenburg"

☆

Była niedziela 2 maja 1937 roku. Właśnie w piątek, rozmyślał elektryk Josef Leibrecht, jeden z członków załogi sterowca „Hindenburg", będę w Stanach Zjednoczonych.

Wkrótce po wschodzie słońca Leibrecht jechał już na rowerze na frankfurckie lotnisko. W dali majaczyły hangary, wkrótce miało tam powstać nowe miasto — Zeppelinheim.

Hangar, prawie 300 metrowej długości i wysoki jak dwudziestopiętrowy gmach, był w owym czasie jedną z największych budowli w świecie. Kiedy Leibrecht zsiadał z roweru na lotnisku nie otwarto jeszcze stalowych wrót hangaru i ukryty w nim olbrzymi sterowiec nie był widoczny.

„Hindenburg" odbył już dziesięć rejsów do USA w 1936 roku. Gdy przybył tam po raz pierwszy załogę witano jak gwiazdy filmowe. Ale ten entuzjazm zaczął powoli przygasać. Właśnie nazajutrz miał się odbyć pierwszy w tym roku lot do USA, z zaplanowanych osiemnastu.

Leibrecht, ubrany w roboczy kombinezon, wjechał windą na pokład sterowca. Przy trapie stali w szeregu funkcjonariusze SD, gotując się do ostatniej rewizji na sterowcu. Mieli przejrzeć wszystko, od dzioba do rufy, od dołu do góry, każdą kajutę i najmniejsze zakątki statku. Na nogach mieli specjalnie skonstruowane obuwie, wykluczające groźbę powstania choćby najmniejszej iskry. Ostrożność uzasadniona bowiem w 1935 roku, w Rio-de-Janeiro, w restauracji na pokładzie „Grafa Zeppelina" znaleziono bombę. A „Hindenburg" był przecież dumą Niemców, symbolem ich potęgi po pierwszej wojnie światowej.

Podłużną konstrukcję „Hindenburga" wykonano z duraluminiowych belek o łącznej długości 15 kilometrów. Zmocowano ją potężnymi obręczami, również z duraluminium, przy czym — co daje wyobrażenie o wielkości sterowca — środkowa obręcz miała około 50 metrów średnicy. Cały szkielet obciągnięto spoistym płótnem żaglowym wzmocnionym pięcioma warstwami tkaniny powłokowej, przetkanej gęsto srebrną nicią dla osłony przed ciepłem promieni słonecznych. Od wewnątrz płótno żaglowe pomalowano na kolor czerwony, nie przepuszczający promieni ultrafioletowych. Sześnaście gigantycznych grodzi dzieliło korpus sterowca na komory, wypełnione 200 tysiącami metrów sześciennych wodoru. Starczało go do uniesienia ciężaru o wadze 236 ton, w tym również paliwa na przelot około 15 tysięcy kilometrów.

W poniedziałek 3 maja 1937 roku w Berlinie siąpił drobny kapuśniak. Służbowym „mercedesem" trzech oficerów Luftwaffe jechało na Wilhelmstrasse do sztabu SS. Po południu mieli wsiąść na samolot lecący do Frankfurtu, żeby wziąć udział w podróży „Hindenburga" do USA. Najstarszym oficerem był pułkownik Friedrich Erdman — szef wywiadu Luftwaffe, dwóch pozostałych to: major Franz Witt i porucznik Klaus Hinkelbein. Luftwaffe zawsze wysyłała swoich „obserwatorów" na sterowcach lecących za granicę.

Po przybyciu do sztabu SS, wszyscy trzej przeszli do gabinetu majora Hufschmidta, podlegającego bezpośrednio Himmlerowi. Major rzekł:

— Otrzymaliśmy informację, że po przybyciu do Nowego Jorku sterowiec może być obiektem zamachu. To by mogło wywołać międzynarodowy skandal, którego Niemcy powinny uniknąć. Nie można dopuścić, żeby pasażerowie, a przede wszystkim Amerykanie, ponieśli jakikolwiek szwank na pokładzie niemieckiego sterowca na terytorium Ameryki. Ale najważniejsze jest to, żeby Amerykanie nie odnieśli wrażenia, iż Niemcy są źle nastawieni do nowego Reichu, niezdyscyplinowani i dopuszczają się tak kompromitujących czynów.

— Kiedy otrzymano tę informację? — spytał pułkownik Erdman.

— Dowiedzieliśmy się, że w ubiegłym miesiącu, w jednym z paryskich banków, należącym do Żydów, opracowywano plan dokonania dywersji na pokładzie „Hindenburga", co postawiłoby rząd Rzeszy w kłopotliwej sytuacji. Na szczęście mamy przyjaciół w zarządzie tego banku. Być może, że jest to plotka. Ale niedawno otrzymaliśmy informację z innego źródła. Wynika z niej, że możliwa jest próba zamachu na sterowcu w czasie przygotowań do zbliżającej się podróży do Nowego Jorku.

Następnie major Hufschmidt przejrzał z uwagą informacje, ktore udało się zebrać o pasażerach „Hindenburga". Wielu z nich, zdaniem majora, mogło mieć motywy dokonania dywersji. Podejrzenie padło przede wszystkim na niejakiego Josefa Schpa, aktora i komika.

— Człowiek ten — podjął znów Hufschmidt — w charakterze aktora wiele podróżował po całych Niemczech. Podszywa się pod Amerykanina, ale ma francuski paszport. W Monachium spotykał się z ludźmi, którzy są wrogami partii nazistowskiej.

W Berlinie stale jadał w restauracji Hulchera, która nie jest na kieszeń zwykłego aktorzyny. Widywano go często w towarzstwie aktorki Marty Maryfiel. Jest Amerykanką, utrzymuje ją człowiek, który kieruje spiskiem niebezpiecznych ludzi. Aresztują go, być może, jeszcze w tym miesiącu. Oczywiście mogą to być tylko przypuszczenia, niemniej, pułkowniku, nie spuszczałbym z oczu tego Schpa w dzień i w nocy.

We Frankfurcie także padał deszcz i czarne chmury kryły niebo. Pasażerów sterowca przywieziono na lotnisko autokarem. Ale Josef Schpa nie przyjechał autokarem, lecz podjechał do wrót hangaru małym sportowym samochodem. Pod pachą trzymał spory pakunek owinięty w brązowy papier, co było powodem dłuższego sporu ze strażą hangaru. Schpa wyraźnie drwił z funkcjonariuszy SD, a nawet udał, że chce uciekać. Wreszcie musiał jednak odwinąć papier, była w nim kukła. Kukłę sfotografowano i prześwietlono pod aparatem rentgenowskim.

Kilka minut później dowódca sterowca wydał rozkaz: „Start!" Gdyby z pokładu nie było widać jak maleje postać dyrygenta orkiestry, grającej marsza pożegnalnego, nikt z pewnością nie dostrzegł, że „Hindenburg" idzie w górę. Reflektory oświetlały oddalający się sterowiec. Na wysokości stu metrów wydano rozkaz włączenia silników. O godzinie dwudziestej piętnaście ostatnia wiązka światła reflektora opisała koło na swastyce umieszczonej na burcie sterowca i wsiąkła w mżawkę.

Nazajutrz, kiedy nawigatorzy myśleli nad sposobem ominięcia cyklonu, zdążającego szerokim frontem od Irlandii w kierunku centralnego obszaru Oceanu Atlantyckiego, dowódca sterowca, kapitan Lehman, odbył poufną rozmowę z pułkownikiem Erdmanem. Tymczasem przejrzano wszystkie rozkazy, zrewidowano pasażerów i członków załogi, odebrano im zapałki, zapalniczki, lampy błyskowe i latarki. Szczegółowo skontrolowano cały bagaż. Ładunku na sterowcu nie było dużo: dwa psy, kilka taśm filmowych, pisma, części zapasowe prospekty reklamowe, trochę liści tytoniu i trzy jaja kuropatwy, które — jak z uśmiechem powiedział kapitan Lehman — przejrzano również bardzo dokładnie. Jednakże w środę 5 maja pomocnik dowódcy sterowca, kapitan Pruss, kazał jeszcze raz zlustrować cały sterowiec.

Gdy wreszcie poinformowano, że widać już Nowy Świat, jednego z pasażerów przyłapano w miejscu, w którym nie wolno było przebywać osobom postronnym i zaprowadzono go do starszego komisarza Kubisa. Tym pasażerem był Josef Schpa.

Po naradzie dowództwa, pułkownik Erdman i kapitan Lehman postanowili ukarać winowajcę. Erdmanowi nie udało się jednak przekonać kapitana, żeby podjął zaproponowane środki ostrożności, to jest zamknął Schpa na klucz w jego kajucie.

Po kolacji pasażerowie słuchali muzyki i śpiewali chórem przy akompaniamencie akordeonu. Przyciszone dźwięki muzyki dolatywały do kajut załogi. W jednej z nich spał Erich Spel. Dyżur miał o północy, ale komisarz Nunnenmacher zbudził go o godzinę wcześniej, akurat w momencie gdy Spelowi śniły się ręce pewnego artysty, okrutnie okaleczone w katowniach Gestapo. Spel widział go, kiedy ten po uwolnieniu z więzienia wrócił do domu.

Erich Spel był z pochodzenia chłopem. Umiał się zręcznie posługiwać igłą i maszyną do szycia, i te umiejętności utorowały mu drogę do zakładów budowy sterowców. Potem zaproponowano mu pracę porządkowego na sterowcu „Hindenburg". Spel zgodził się chętnie ponieważ chciał pomścić okaleczone ręce artysty. Pragnął zniszczyć tę maszynę, która nieustannie wychwalało radio i zmusić je, żeby chociaż raz powiedziało prawdę...

Jego mina leżała na dnie komory gazowej nr. 4. Była niezwykle prosta w konstrukcji, ale obiecująca. W woreczku znajdowały się cztery suche baterie, które zasilały detonator, a on z kolei zapalał umieszczony w woreczku fosfor. Mina miała mechanizm zegarowy i żeby ją uruchomić wystarczyło przekręcić rączkę mechanizmu zegarowego. Dostać się do niej było łatwo, należało tylko przeciąć nożem fałdę komory gazowej, wchodząc po drabinie ze środkowego korytarza. A ponieważ przy końcu podróży zawsze wypuszczano z komór część wodoru, wiotczały one i w fałdach powłoki nie sposób było dojrzeć przecięcia nożem. (c.d.n.)

JERZY CZECH

## PORTUGALIA: RZĄD MNIEJSZOŚCIOWY
## HISZPANIA: ATAK OPOZYCJI
## WŁOCHY: DRUGA TURA KONSULTACJI

W trzech krajach: Portugalii, Hiszpanii i Włoszech przedmiotem szczególnego zainteresowania są nowe gabinety. Dla każdego z tych krajów uformowanie rządu oznacza bowiem nowy rozdział w życiu politycznym.

Zwycięstwo w wyborach prezydenckich w **PORTUGALII** Ramalho Eanesa było równoznaczne z powierzeniem misji utworzenia nowego rządu przywódcy partii socjalistycznej — Mario Soaresowi, który właśnie przedstawił do akceptacji skład gabinetu. **Jest to rząd mniejszościowy składający się z socjalistów,** partii, która na ostatnich wyborach zarobiła ponad 100 mandatów. Wcześniej Soares odrzucił możliwość współpracy z partią komunistyczną, nie chciał także wejść w alians z dwiema partiami spod znaku prawicy: Centrum Demokratyczno-Społecznego i Partii Ludowo-Demokratycznej.

Pierwszy, już nie tymczasowy rząd od czasu rewolucji portugalskiej, będzie więc musiał kluczyć między partiami, aby zyskiwać w określonych sprawach poparcie na forum parlamentu. Jeśli to nie nastąpi w takiej czy innej kwestii — egzystencja rządu jest zagrożona. Można mieć również wątpliwość, czy mniejszościowa formuła pozwoli przeprowadzić niezbędne reformy w kraju, który przeżywa trudną sytuację gospodarczą i wymaga pośpiesznych kroków w celu jej uzdrowienia. Dlatego z chwilą powołania rządu Soaresa nie kończą się kłopoty Portugalii.

W sąsiadującej z Portugalią **HISZPANII** trwa ostry atak opozycji na funkcjonujący od dwóch tygodni rząd Adolfo Suareza (o okolicznościach zdymisjonowania poprzedniego premiera pisaliśmy na tym miejscu). **Opozycyjny front polityczny, w skład którego wchodzą: liberałowie, lewica chrześcijańska, socjaliści i komuniści, wydał oświadczenie, stwierdzające, że Suarez nie wprowadzi w życie zapowiedzianych reform,** gdyż już łamie wcześniejsze obietnice. Przykładem tego jest zakaz demonstracji na rzecz amnestii oraz liczne aresztowania działaczy związkowych i politycznych.

Dodajmy, że ostatnio w Madrycie i innych miastach doszło do licznych zamachów bombowych i podpaleń, rozrzucono też tysiące ulotek, podpisanych przez niewielkie ugrupowanie maoistyczne. Jest mało prawdopodobne, aby zamachy łączyły się z jego działalnością. Przecież i w przeszłości skrajna prawica posługiwała się takimi prowokacjami dla osiągnięcia swoich celów — uzasadnienia represji wobec działaczy postępowych. Zamachy zostały stanowczo potępione przez hiszpańskie partie opozycyjne.

Nowy atak prawicy może wynikać z jej obawy, że odsunięcie frankistowskiego premiera zapowiada wejście na drogę reform. Jak potoczą się dalsze wydarzenia wynikać będzie z układu sił.

Jeszcze inaczej przedstawia się sytuacja we **WŁOSZECH.** Tam na premiera desygnowany został przedstawiciel chadecji — Giulio Andreotti, któremu nie powiodła się pierwsza tura rozmów. **Opublikował więc tezy programu rządowego, w oparciu o które rozpoczął drugą turę konsultacji.** Dokument zawiera założenia polityki gospodarczej i społecznej, polityki zagranicznej oraz działania Włoch w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej. Jest w nim wreszcie mowa o kierunkach reformy administracji.

W chwili, kiedy piszemy te słowa, nie jest nam jeszcze znane stanowisko włoskich komunistów wobec tego programu. Przypomnijmy, że po ostatnich wyborach WłPK dysponuje w parlamencie 228 mandatami i bez jej choćby milczącej zgody nie może być uchwalony żaden program rządowy. Przypomnijmy także, iż komuniści wciąż przekonani są co do tego, że **najlepszym rozwiązaniem dla Italii byłoby obecnie utworzenie rządu szerokiej większości demokratycznej.** Niestety, takiego rozstrzygnięcia wciąż jeszcze nie aprobuje chadecja.

Wydaje się, że nieco ewoluuje stanowisko socjalistów. Jeśli do tej pory kategorycznie odrzucali oni możliwość utworzenia rządu przy ich udziale i równie stanowczo domagali się w nim reprezentantów partii komunistycznej, o tyle teraz zapowiedź uważnego zbadania ekonomicznych i społecznych propozycji Andreotti interpretowana jest jako ewentualność pogodzenia się z rządem mniejszościowym, sformowanym przez chadecję. Oczywiście, rząd taki musiałby mieć zapewnienie socjalistów, że we wszystkich najważniejszych sprawach będą się wstrzymywać od głosu w parlamencie.

A więc i we Włoszech, podobnie jak w Portugalii, przy takiej koncepcji gabinetu może on nie być trwałym. Nie uprzedzajmy jednak faktów, przecież trwa dopiero druga tura konsultacji i być może trzeba będzie jeszcze dłużej poczekać na powołanie nowego gabinetu. Nie jest to korzystne dla kraju, który oczekuje na rozwiązanie wielu problemów społecznych i gospodarczych.

W. SŁAWSKI

## TELEWIZJA

# UWIĘZIENI W PUDEŁKU

**Wielu twierdziło, że mamy dobrą telewizję, interesującą, żywo robioną, dynamiczną. Ale im nie wierzono. I oto mamy teraz możność przekonania się na przykładzie telewizji kanadyjskiej, że te pochwały TVP nie były gołosłowne. Sposób relacjonowania przebiegu XXI Igrzysk Olimpijskich w Montrealu krytykowany jest powszechnie. Jedna z gazet w RFN nazwała relację z Montrealu pigułkami nasennymi. U nas też nie szczędzi się słów krytyki pod adresem „Studia olimpijskiego". I byłbym może bez zastrzeżeń przyłączył się do tego chóru, gdyby nie pewien drobny szczegół.**

**W czwartek 22 lipca 1976 roku, późnym wieczorem decydowały się losy pięcioboju nowoczesnego. Wielką szansę miał nasz reprezentant Janusz Gerard Pyciak-Peciak. Telewizja kanadyjska pokazała start tego zawodnika, pokazując zresztą też start kilku innych, pokazała kilka dramatycznych powrotów, kiedy każdy niemal wracający z trasy padał kompletnie wyczerpany. Bieg przedstawiał się dramatycznie. I co robią kanadyjscy realizatorzy? Przełączają kamery na basen pływacki i furt pokazują pływanie. W gruncie rzeczy nudne widowisko, tyle że łatwe w realizacji. Pływacy i pływaczki pływają sobie i pływają. To prawda, że padają rekordy świata, ale nic ma w tym nic aż tak interesującego, aby każdego, czy każdą pokazywać po kilka razy w zwolnionym tempie. Podobnie zresztą jak i gimnastyczki, bo żeby było już zupełnie śmiesznie, realizatorzy z Kanady dali jeszcze kilka obrazków z sali gimnastycznej.**

**W tej sytuacji nie było innego wyjścia jak tylko wyłączyć telewizor i posłuchać radiowego sprawozdania. Radio — jak wiadomo — spisuje się znakomicie i ma wiadomości bieżące, daje pełny przegląd tego, co dzieje się w Montrealu. Ale tym razem radio okazało się bezradne. Najszybciej o sukcesie Janusza Gerarda Pyciaka-Peciaka zawiadomiły agencje prasowe. Tomasz Hopfer, który też zdenerwował się na kanadyjskich kolegów, za statyczne niemal pokazywanie pływalni, skorzystał z depesz agencyjnych i próbował znaleźć potwierdzenie wiadomości o złotym medalu polskiego pięcioboisty. Bogdan Tuszyński w studio montrealskim długo jeszcze nie mógł takiego potwierdzenia uzyskać mimo że miał reporterów na głównym boisku w Montrealu. Uzyskał je również za pośrednictwem agencji prasowych. Skomentował to zresztą później, podkreślając, że jest to olimpiada techniki. Ale dla organizatorów żadne to usprawiedliwienie. Z techniki też trzeba umieć korzystać. Odnoszę takie wrażenie, że w Montrealu nie ludzie panują nad techniką, a technika nad ludźmi.**

**Żal mi jest trochę naszych komentatorów ze „Studia olimpijskiego" w Warszawie. Kiedy patrzę na nich, wydają mi się ludźmi uwięzionymi w pudełku, zupełnie bezradnymi wobec tego, co dzieje się z pięciogodzinną różnicą daleko od Warszawy, na drugiej półkuli. W czwartek — 22 lipca rano, kiedy już było wiadomo, że pierwszym złotym polskim medalistą został Zbigniew Kaczmarek, miałem nawet trochę pretensji do TVP że zamiast pokazać zmagania naszego ciężarowca, pokazano archiwalny materiał z Monachium i reportażyk z... Siemianowic, w którym wszyscy cieszyli się ze srebrnego sukcesu Grzegorza Cziury. Wieczorem żal mi przeszedł, ale nie do końca.**

**Nie wiem, jakie możliwości wpłynięcia na zaktualizowanie telewizyjnych relacji z Montrealu posiada szef redakcji sportowych radia i telewizji — Andrzej Jucewicz, który — jak zapewne wiadomo wszystkim — znajduje się na miejscu, czyli w Montrealu. Domyślam się, że żadnych. Skoro jednak „głównodowodzący" udał się na „front", to ktoś musi tu go zastąpić i podjąć decyzje. Telewizyjne relacje nie dają rzeczywistego przeglądu tego, co aktualnie dzieje się na stadionach, boiskach i bieżniach w Kanadzie. Taki przegląd daje natomiast radio. Czyż więc nie można korzystać również z nasłuchu radiowego, śmielej ingerować w to, co podrzuca nam kanadyjska telewizja, przerywać parady pływaków i dekoracje nic nas nie obchodzących zawodników, i choćby tylko informować o tym, co aktualnie dzieje się w Montrealu? Myślę, że jest to zupełnie możliwe, osiągalne i realne. Chciałbym bowiem, zasiadając przed telewizorem nie tylko widzieć starocie, ale wiedzieć, co się tam teraz dzieje, kto z naszych i gdzie walczy. Oczywiście, że mogę trzymać przy jednym uchu tranzystorowe radio, a drugim słuchać tego, co mówią w telewizji. Ale to ani żadna przyjemność, ani mój obowiązek.**

**A telewizję mamy niewątpliwie dobrą. Do tej pory znakomicie radziła ona sobie, przynajmniej w sportowych sprawozdaniach z różnymi trudnościami i mieliśmy niezłą informację. Cóż się więc stało? Skąd nagle ta bezradność? Kochani! Wyliżcie wreszcie z tego pudełka i zacznijcie robić to, co powinniście w takich sytuacjach. Informować telewidza, a nie siedzieć bezradnie uwięzieni w tym cholernym pudełku.**

ADAM KOT

## DRUGA ŚWIATOWA

**Rok 1942 — trzeci rok morderczej wojny, która toczyła się już wówczas w Europie, Afryce Północnej i na Dalekim Wschodzie, ale jeszcze z dala od wybrzeży Ameryki. Czy płomień wojny ogarnie ją także? Wielu ludzi w Stanach Zjednoczonych coraz częściej zadawało sobie to pytanie. Minęło już wprawdzie pół roku od przystąpienia USA do tych największych w dziejach zmagań wojennych i choć front przebiegał jeszcze o kilka tysięcy kilometrów od granic Stanów z niepokojem patrzono na rozwój wydarzeń za oceanem. Sytuacja aliantów tak w Europie jak i na Dalekim Wschodzie była w tym okresie bardzo trudna. Wróg nadal parł naprzód całą siłą swych armii i z ogromnym trudem usiłowano go powstrzymać, niestety często bez powodzenia. Całą nadzieję pokładano więc w Stanach Zjednoczonych, że zdążą na czas przestawić swój potężny przemysł na produkcję wojenną i na front popłyną tak oczekiwane czołgi, transportery, działa, samoloty, okręty. Stawało się już jasne, iż kto wygra ten wyścig z czasem, ten wygra wojnę. Wróg doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, jak i z tego, co może dlań oznaczać tak znaczny wzrost produkcji sprzętu wojennego w USA. Toteż wcale nie zamierzał przyglądać się temu bezczynnie.**

ANDRZEJ BLAJER

# KRYPTONIM „PASTORIUS"

1.

Był **14 czerwca 1942 r.** Powoli zapadał zmierzch nad posterunkiem Coastal Guard (straży przybrzeżnej) w Amagansett. Pełniący służbę marynarze drzemali. Monotonny szum fal rozbijających się o skaliste wybrzeże Long Island działał uspokajająco i usypiająco. Nic dziwnego, zwłaszcza kiedy się siedzi — jak owi marynarze — w ciepłych i suchych pomieszczeniach. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że łatwo byłoby tych ludzi zaskoczyć. Wśród tych jednostajnych tonów szczególnie wyraźne stawały się bowiem wszelkie inne dźwięki i szumy. I tak, w pewnej chwili postawił wszystkich na nogi szum silnika, który jednak wkrótce ucichł. Ale w niespełna godzinę później w monotonny szum fal ponownie wkradły się jakieś obce dźwięki. Marynarze zaczęli nasłuchiwać. Podejrzane dźwięki dochodziły z plaży, wydawało się, jakby coś ciągnięto po piasku, słychać było także uderzenia desek lub kijów. Jeden z marynarzy skierował reflektor w kierunku plaży. Niestety, gęsta mgła, która spowiła wybrzeże gęstym całunem, uniemożliwiała jakąkolwiek obserwację. Nawet silny i skoncentrowany strumień światła rozpływał się w mlecznobiałej mgle już w odległości kilku metrów od reflektora.

— **Zobaczymy, kto tam idzie** — powiedział John Cullen do swoich kolegów. 21-letni marynarz wziął broń, latarkę i opuścił posterunek, udając się na poszukiwanie źródła podejrzanych dźwięków. Nie przeszedł nawet stu metrów, gdy do jego uszu dotarły urywki rozmów prowadzonych przez jakichś ludzi. Cullen skierował się w stronę, skąd dochodziły owe głosy, torując sobie drogę w ciemnościach i mgle światłem latarki. Nagle strumień światła wyłowił we mgle postać mężczyzny, który szedł w kierunku Cullena i oślepiony blaskiem latarki stanął.

— **Kim pan jest** — krzyknął marynarz — **i co pan robi o tej porze na plaży.**

**Właśnie nic teraz nie mogę robić. Jestem rybakiem. Osiedliśmy naszą łodzią na plaży** — odparł nieznajomy typowym nowojorskim slangiem, dodając: — **Chcemy zaczekać aż się rozjaśni i ta przeklęta mgła opadnie. Wtedy odpłyniemy do Shinnecock. Przypłynęliśmy bowiem z East Hampton.**

— **Z East Hampton do Shinnecock? To zupełnie pomieszały się wam kierunki. Pewnie nie orientujecie się nawet, gdzie teraz jesteście?**

— **Wydaje mi się, że w połowie drogi. A gdzie się właściwie znajdujemy?**

— **Tutaj jest posterunek straży przybrzeżnej Amagansett.**

— **Do diabła, to płynęliśmy w fałszywym kierunku.**

W tym momencie rozmowa się urwała, bowiem z mgły wyłoniła się druga postać.

— **Co tam się stało, Georg?** — zapytał mężczyzna. Cullen stanął jak wryty. Pytanie było w języku niemieckim.

— **Stul gębę!** — wrzasnął również po niemiecku człowiek imieniem „Georg", który przed chwilą rozmawiał z Cullenem. Marynarz nie zastanawiał się ani chwili, wiedział, że musi zareagować błyskawicznie. Natychmiast zgasił lampę i szybkimi susami zniknął we mgle. Po kilku sekundach przystanął, starał się zachowywać bardzo cicho, aby nie zdradzić owym tajemniczym postaciom, najwidoczniej Niemcom, miejsca, w którym się znajdował. Następnie zaczął się ostrożnie wycofywać w kierunku posterunku.

— **Prawdopodobnie ludzie, którzy tu wylądowali, to Niemcy** — relacjonował Cullen swym kolegom i pięciu z nich, uzbrojonych w pistolety maszynowe podążyło natychmiast w kierunku miejsca, gdzie nastąpiło owo spotkanie. Nie przebyli nawet połowy drogi, gdy od strony morza dał się słyszeć szum silnika, który zresztą wyraźnie się oddalał. Rankiem dokładnie przeszukano całą okolicę. Ślady butów potwierdziły obecność tajemniczych nocnych gości. Choć próbowano je zatrzeć, to co pozostało aż nadto wystarczało, by zorientować się, że ludzie ci nie byli wcale rybakami. Ślady wyraźnie prowadziły w kierunku wydm i było jasne, że chyba nie bez powodu. Musiało być tam chyba coś zakopane. Wkrótce marynarze i policjanci znaleźli kryjówkę. Spod zwałów piachu wyciągnięto cztery wodoodporne skrzynie. Kiedy pierwszą z nich ostrożnie otwarto, marynarze ujrzeli materiały wybuchowe, lonty, różne typy zapalników czasowych i niemiecką broń ręczną. O znalezisku natychmiast poinformowano biuro FBI w Nowym Jorku i niebawem skrzynie z wydm Amagansett przewieziono celem dalszych badań do laboratorium FBI w Waszyngtonie.

Nie dowiedziano się jednak zbyt wiele, wiadomo było jedynie tyle, że na Long Island wylądowali dywersanci z hitlerowskich Niemiec, którzy ukryli tam swą broń i sprzęt lub przynajmniej jego część. Następnie, albo udało im się przeniknąć w głąb lądu, albo — wskutek incydentu na plaży — znów wsiedli na statek, którym przypłynęli, aby lądować w innym miejscu. Niebawem okazało się, że mimo wszystko FBI udało się i to nawet bez wielkiego wysiłku, wyjaśnić tę zagadkę. Otóż po upływie dwóch dni od incydentu na posterunku straży przybrzeżnej w nowojorskim biurze FBI zadzwonił telefon. Urzędnik, który podniósł słuchawkę, usłyszał w niej głos nie znanego mu mężczyzny:

— **Nazywam się Franz Daniel Pastorius, chciałbym panu przekazać tylko tyle, że w najbliższych dniach zatelefonuję do centrali w Waszyngtonie. Mam ważne informacje do przekazania.**

Zanim urzędnik zdążył zadać jakiekolwiek pytanie, tajemniczy Pastorius odłożył słuchawkę. Jak się wkrótce miało okazać, właśnie ów telefon, który zresztą uratował życie temu człowiekowi, był decydujący dla całej sprawy. W pewnym sensie przyczynił się do tego urzędnik, który potraktował rozmowę poważnie i nie bacząc, że może być to jakiś głupi żart, zapisał godzinę i nazwisko rozmówcy.

Dwa dni później, 18 czerwca 1942 r. ten sam człowiek zadzwonił ponownie, tym razem do waszyngtońskiej centrali FBI, prosząc o połączenie go z jej szefem, Edgarem Hooverem.

— **Żałuję, ale w tej chwili jest to niemożliwe** — padła odpowiedź urzędnika — **zechce pan więc nam przekazać swoją prośbę.**

— **O.K., a więc niech pan słucha. Jestem tym człowiekiem, który przedwczoraj dzwonił do nowojorskiego biura waszej centrali. Moje prawdziwe nazwisko brzmi Georg Dasch. Przybyłem do Stanów z Niemiec z ważną misją i mogę panom o wszystkim opowiedzieć. Zatrzymałem się w hotelu „Mayflower", pokój numer 351.**

**Niech pan tam zostanie i czeka, niebawem pana odwiedzimy.**

Minęło zaledwie kilka minut, a ludzie Hoovera już byli w hotelu.

— **Dobrowolnie oddaję się do dyspozycji władz federalnych** — oświadczył od razu Georg Dasch, niemiecki agent i dywersant. Zaraz też przewieziono go do centrali, zaś kilka godzin później FBI poznało jedną z niezwykle interesujących i tajemniczych historii.

2.

Urząd Abwehra Zagranica (Abw.II) zajmujący się w OKW między innymi planowaniem akcji dywersyjnych za granicą, dysponował 8-osobową sekcją przeznaczoną do prowadzenia działań sabotażowych na terytorium USA. Tego rodzaju akcja miała odbywać się pod kryptonimem **„Pastorius"**, a kierować miał nią podporucznik Walter Kappe, który od kwietnia 1942 roku przygotowywał selekcję do tej operacji. Nie był on bynajmniej nieznany FBI. Mieszkał w USA przez wiele lat. W 1925 roku, wraz z innymi nazistami, założył w Chicago faszystowską organizację o nazwie „Teutonia". Ugrupowanie początkowo luźno zorganizowane, z czasem przekształciło się w paramilitarny „Niemiecko-Amerykański Związek", którego struktura i działalność były wzorowane na SA. Członkowie owego „związku" odbywali regularne ćwiczenia strzeleckie i sprawnościowe oraz uczęszczali na kursy szkolenia wojskowego. Jednym z czołowych aktywistów tej organizacji był właśnie Walter Kappe, który wniósł istotny wkład w utworzenie na terenie Stanów Zjednoczonych zagranicznej delegatury NSDAP, a kilka lat po przejęciu władzy w Niemczech przez Hitlera powrócił do Rzeszy. Federalne Biuro Śledcze (FBI), które początkowo bacznie obserwowało działalność „związku", odnosząc się doń dosyć podejrzliwie, upewniwszy się, że nie grozi z tej strony niebezpieczeństwo „wykroczenia przeciwko ustawom federalnym", zostawiło faszystom swobodę działania.

Podobnie jak Walter Kappe, tak i pozostali członkowie sekcji Abwehry II dobrze znali USA. Wszyscy doskonale władali językiem angielskim, z odpowiednim akcentem, jako że wiele lat przebywali w Stanach Zjednoczonych. Wspomniany już Georg Dasch miał nawet otrzymać w 1939 roku obywatelstwo amerykańskie. Ale w momencie, gdy sprawa była już niemal pozytywnie załatwiona, nagle wycofał swoje podanie i powrócił do Niemiec.

Cała grupa przeszła poza tym intensywne szkolenia dywersyjne w specjalnych obozach Abwehry, zwłaszcza w posługiwaniu się nowymi środkami technicznymi, silnie wybuchowymi materiałami i skomplikowanymi zapalnikami. Tam też poinformowano ich o celach akcji sabotażowej na terytorium USA. Według otrzymanych instrukcji dywersanci sekcji Wilhelma Kappe mieli wysadzić w powietrze huty i zakłady aluminium w Alcoa (Tennessee), East St. Louis (Illinois) i Filadelfii (Pensylwania), będące głównymi kooperantami przemysłu lotniczego. Oprócz tego zadaniem ich miało być zniszczenie śluz na Ohio River między Pittsburgiem i Louisville w Kentucky, jak też szeregu dworców kolejowych i mostów, a wśród nich słynnego Hell Gate Bridge nad East River w Nowym Jorku. Charakterystyczne, że nie chodziło tu jedynie o zniszczenie instalacji i urządzeń mających znaczenie dla przemysłu zbrojeniowego, nie mniej ważny był tu bowiem czynnik psychologiczny całej akcji — wytworzenie w społeczeństwie amerykańskim atmosfery strachu i terroru. Każdy obywatel USA miał doświadczyć na własnej skórze faktu, że Niemcy są wszędzie i potrafią wysadzić w powietrze wszystko, co jest przeznaczone na potrzeby wojny. Tak więc np. akcje dywersyjne na dworcach miały zostać przeprowadzone właśnie w godzinach największego ruchu pasażerskiego, kiedy pociągi wiozły do pracy robotników przemysłu zbrojeniowego, aby zachwiać ich morale i zmusić rząd do zmiany kursu w polityce zagranicznej.

Zgodnie z ustalonym planem dywersantów podzielono na dwie grupy, każda po cztery osoby i zaokrętowano ich na dwa U-Booty, które miały odpłynąć w kierunku wybrzeży Ameryki Północnej.

Do grupy Georga Dascha należeli jeszcze: Ernst Burger, Heinrich Heinck i Richard Quirin. **26 maja 1942 roku** wszyscy oni odpłynęli z bazy morskiej w Bordeaux na pokładzie okrętu podwodnego U-202, który dla celów operacji nosił nazwę **„Innsbruck"**. Punktem docelowym było odludne miejsce w okolicach East Hampton na Long Island. Jednak wskutek pomyłki okręt wynurzył się o 5 mil morskich od planowanego miejsca, dokładnie naprzeciw posterunku Coastal Guard w Amagansett. Odległość od brzegu wynosiła kilkaset metrów. Marynarze spuścili na wodę ponton, którym czterej dywersanci mieli popłynąć w kierunku lądu, gdzie zakopany był sprzęt, materiały wybuchowe i broń. Jednak przy manewrze dobijania do plaży okazało się, że pech nie opuszcza załogi, gdyż w pewnym momencie ponton przewrócił się i wypełnił po brzegi wodą. Tylko ogromnym wysiłkiem udało się go wyciągnąć na brzeg i wypompować wodę. Podczas tych czynności z dulek pontonu wysunęły się wiosła, które upadły na skrzynie — co było właśnie źródłem owych dziwnych dźwięków, które usłyszała załoga posterunku.

Po incydencie z marynarzem Coastal Guard, Dasch i jego trzej towarzysze pośpieszyli czym prędzej w kierunku stacji kolejki, którą udali się do Nowego Jorku rozdzielając się, tak jak było umówione. Dasch z Burgerem zatrzymali się w hotelu „Governor Clinton na rogu Siódmej Alei i 32 ulicy w południowej części Manhattanu. Stać ich było na tak luksusową kwaterę, jako że grupa Kappego dysponowała pokaźną sumą 175.000 dolarów, którą mu na ten cel wręczono w Niemczech. W bezpiecznym zaciszu pokoju hotelowego Dasch i Burger omawiali sytuację, jaka powstała w związku z nagłym pojawieniem się marynarzy straży przybrzeżnej. Mogło to zupełnie pokrzyżować szyki całego przedsięwzięcia. Na dodatek ponowne poszukiwanie miejsca, gdzie były zakopane skrzynie ze sprzętem, wydawało się dosyć ryzykowne. Teraz jest wojna, a oni są niemieckimi dywersantami, nie było się co łudzić — w razie wpadki, to pewna śmierć. Szanse na swobodne działanie w tych warunkach są raczej minimalne, tym bardziej, że na pewno postawiono już na nogi FBI i policję. Postanowili więc oddać się w ręce władz, aby przynajmniej uratować własne głowy poświęcając sześciu pozostałych kolegów.

Toteż Dasch, nie zwlekając, zatelefonował do nowojorskiego biura FBI. Następnie postanowił zaczekać, aż wyląduje druga grupa dywersantów, aby wydać ich w ręce władz. W jej skład wchodzili: Edvard Kerling (dowódca grupy), Hermann Neubauer, Werner Thiel oraz Herbert Haupt. Wylądowali oni 17 czerwca 1942 r. całkowicie niepostrzeżenie na plaży Ponte Vedra, na południe od Jacksonville (Floryda), gdzie wysadził ich okręt podwodny. Kerling i Thiel udali się niezwłocznie do Nowego Jorku, podczas gdy Neubauer i Haupt pojechali do Chicago. Kiedy więc Dasch otrzymał meldunek, że wszyscy znaleźli się już w wyznaczonych miejscach, wsiadł w pociąg i udał się do Waszyngtonu, aby poinformować o tym FBI. Podczas przesłuchania przekazał ludziom Hoovera listę nazwisk i danych personalnych oraz miejsc pobytów innych dywersantów niemieckich w USA, co było o tyle łatwe, że wszyscy go doskonale znali, a ich lokale miały być punktami kontaktowymi.

W tej sytuacji aresztowanie całej grupy było dla FBI zupełną drobnostką, toteż już 20 czerwca 1942 r. wszyscy dywersanci znaleźli się pod kluczem.

Aby odstraszyć przeciwnika od przeprowadzania podobnych akcji w przyszłości, prezydent Roosevelt zarządził natychmistowe ujawnienie całej operacji, chcą tym samym podkreślić skuteczność działania FBI.

Proces agentów rozpoczął się w sierpniu 1942 roku. Georg Dasch, który sądził, że za swą współpracę z władzami nie otrzyma kary w ogóle, srodze się zawiódł. Wyrok sądu opiewał bowiem na 30 lat więzienia. Była to zresztą najłagodniejsza kara, bowiem Burger otrzymał dożywocie, zaś sześciu pozostałych stracono na krześle elektrycznym. Podobny los spotkał również trzech amerykańskich przyjaciół dywersantów, którym zaoferowali swą pomoc. W taki oto sposób zakończyła się operacja **„Pastorius"**, od której powodzenia miało przecież zależeć tak wiele.

## „ZAWÓD: KOBIETA"

**Na letnie upały z czystym sumieniem można polecić kolejny tytuł Klubu Interesującej Książki, którym jest powieść Vladimira Parala zatytułowana: „Zawód: „Kobieta".**

Paral, współczesny pisarz czeski, znany jest już polskiemu czytelnikowi. Wcześniej wydane książki „Targowisko spełnionych życzeń", „Prywatna zawierucha" i „Katapulta" cieszyły się u nas sporą popularnością. Pisarz, z wykształcenia inżynier chemik, akcję swoich powieści umieszcza zwykle w środowisku czeskiej inteligencji technicznej. I aczkolwiek w książce: „Zawód: Kobieta" również znajdziemy przedstawicieli świata technicznego, to przecież różni się ono od poprzednich powieści Parala. W notce od wydawcy czytamy: „Jego bohaterka — dziewczyna niezwykłej urody — to jednocześnie Kopciuszek i Angelika z filmowego serialu, przeżywająca nieprawdopodobne przygody, wielbiona, poniżana, porywana na przemian szczęśliwa i miotana rozpaczą. Paral daje nam książkę o pasjonującej, sensacyjnej fabule, skrzącą się dowcipem. Czuje się, że pisał ją z radosnym rozbawieniem, które w pełni udziela się czytelnikowi".

Po takiej rekomendacji nie pozostaje nic innego, jak tylko wcisnąć książkę do urlopowej walizki i potem już tylko konfrontować własne oczucia z reklamą wydawcy.

Vladimir Paral, „Zawód: Kobieta", przełożyła E. Witwicka PIW, W-wa 1976, str. 413, cena zł 40.

## „OJCIEC CHRZESTNY"

**Tej książki nie ma potrzeby reklamować. Któż nie pamięta znakomitej kreacji Marlona Brando, któż nie nucił melodii z głośnego na całym świecie, a i u nas cieszącego się ogromną popularnością filmu zrealizowanego przez F. Coppoli? W Stanach Zjednoczonych nakręcono już „Ojca Chrzestnego II", a tymczasem u nas ukazała się powieść współczesnego amerykańskiego pisarza, Mario Puzo, według której nakręcono pierwszego „Ojca Chrzestnego". Książka przypomina nam działalność jednej z najwiekszych nowojorskich mafii, rodziny Corleone' a ponieważ film wyświetlany był u nas stosunkowo niedawno, podkładają się pod nią obrazy filmu.**

**Tej książki nie ma potrzeby reklamować również z innego powodu. Trzydziestotysięczny nakład pozwala przypuszczać, że zniknie z księgarń błyskawicznie i tylko nie wszystkim chętnym uda się ją kupić. Pozostaną w odwodzie biblioteki i znajomi, jeśli zechcą ją pożyczyć.**

**„Ojca Chrzestnego" tłumaczył Bronisław Zieliński, a to nazwisko jest najlepszą gwarancją dobrego przekładu.**

Mario Puzo „Ojciec Chrzestny", Czytelnik, W-wa 1976, str. 584, cena zł 65.

## „BOJOWAŁEM DOBRY BÓJ"

**O Ary Quintelli tłumaczka jego powieści „Bojowałem dobry bój" — Janina Z. Klave tak pisze: „Wśród plejady wybitnie utalentowanych pisarzy brazylijskich lat sześćdziesiątych Ary Quintella zdołał osiągnąć pozycję dość szczególną: jest jednym z autorów najbardziej kontrowersyjnych. Nie sili się bynajmniej na oryginalność — po prostu jest oryginalny. Poszukiwania semantyczne są w modzie i uprawiają je wszyscy, ale Ary posunął się najdalej w eksperymentowaniu. Łamiąc obowiązujące przepisy, stosuje własną składnię, własne zasady przestankowania, tworzy własne słowa i wyrażenia — wszystko po to, aby w sposób jak najbardziej syntetyczny powiedzieć, co ma do powiedzenia".**

**„Bojowałem dobry bój" — to pierwsza powieść brazylijskiego pisarza przetłumaczona na język polski. Dodajmy od razu: powieść nie tylko interesująca dzięki poszukiwaniom formalnym Quintelli, ale i dzięki fabule. Przeżycia głównego bohatera Renato, jego poszukiwania własnej drogi wśród konformistycznie nastawionego społeczeństwa, realia życia Brazylii lat sześćdziesiątych składają się na całość wartą uważnej lektury.**

**Powieść ukazała się w serii Wydawnictwa Literackiego „Proza Iberoamerykańska".**

Ary Quintella „Bojowałem dobry bój", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 157, cena zł 20.

## „RUM"

**„To pełne przygód życie Jana Galmota dedykuję młodym ludziom naszych czasów znudzonych literaturą, żeby im dowieść, że powieść może być także działaniem" — napisał Blaise Cendrars, sławny nie tylko dzięki swojej twórczości, ale i dzięki niezwykle burzliwemu, pełnemu przygód i podróży, życiu, które tak silnie związane było z jego utworami, że dziś trudno powiedzieć, gdzie przebiega granica między prawdą i fikcją literacką.**

**Tak jak w całej prozie Cendrarsa, tak i w „Rumie" surowa rzeczywistość przeplata się z poetycką refleksją, a bohater — Jan Galmot — łączy w sobie szaleńczą odwagę i umiłowanie czynu z postawa donkiszota.**

**Powieść powstała w roku 1930, a obecną edycję zawdzięczamy Wydawnictwu Literackiemu.**

Blaise Cendrars „Rum — życie i przygody Jana Galmota", przełożyła B. Czaiczyńska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 149, cena zł 15.

## „ZA TOBĄ NA KONIEC ŚWIATA"

**Autorem powstałej w 1929 roku powieści „Za tobą na koniec świata" jest Enrique Jardiel Poncela, hiszpański pisarz (żyjący w latach 1901—1952), który swą karierę literacką rozpoczął od adaptacji scenicznych i niewielkich utworów satyrycznych. Bardzo szybko zdobył sobie popularność jako komediopisarz i humorysta, a jego twórczość cieszyła się w Hiszpanii ogromnym powodzeniem do czasów wojny domowej. Potem zapomniano o Ponceli i dopiero ostatnio wraca zainteresowanie jego twórczością.**

**„Za toba na koniec świata" — to pełna humoru parodia romansu sentymentlno-kryminalnego, z wartką, przygodową akcją i zabawnymi bohaterami. Jeszcze jedna zaleta tej książki to bezpretensjonalna, swobodna narracja.**

**Powieść „Za toba na koniec świata" ukazała się w Klubie Interesującej Książki'.**

Enrique Jardiel Poncela „Za tobą na koniec świata", przełożyła Z. Chądzyńska, PIW, W-wa 1976, str. 376, cena zł 35.

## WARTO PRZECZYTAĆ

**T. BYRSKI „Teatr — radio — wspomnienia", PIW, cena 40 zł**
**H. BELL „Na tropach syna", PIW, cena 16 zł**
**„Klucze do zdarzeń", wybór reportaży Iskry, cena zł 40**
**S. LEM „Dzienniki gwiazdowe", Czytelnik cena zł 35**
**J. SKOSZKIEWICZ „Kwiat w celofanie", Wyd. Łódzkie, cena zł 20**
**W. ŻUKROWSKI „Ręka ojca", Czytelnik, cena zł 19**
**J. IWASZKIEWICZ „Petersburg", PIW, cena zł 25**
**J KAWALEC „W słońcu przepłyniesz rzekę", WL, cena zł 40**
**M. PIECHAL „Moje imperium", Wyd. Łódzkie, cena zł 20**
**A. ŚWIĘTOCHOWSKI „Liberum veto", PIW, cena zł 180**
**M. WARNEŃSKA „Nad wodą wielką i czystą", Wyd. Lubelskie, cena zł 25**
**A. WASILEWSKI „Dryndą po Krakowie", WL, cena z 25**

# ZDARZENIA i ZWIERZENIA

# DRUGA ŚWIATOWA

Druga wojna światowa pozostawiła trwałe ślady w pamięci narodów. W pamięci Polaków ów czas pogardy i czas walki zapadł szczególnie głęboko. Polski kalendarz czerwieni się od rocznic znaczonych przez czas wojny.

Polski kalendarz wojenny zaczyna się od Września, a kończy na zwycięskim Maju. I może należałoby zaczekać z prezentacją „Encyklopedii II wojny światowej" czytelnikowi „Odgłosów" aż do Września. Ale przecież przedtem mamy tragiczny i heroiczny Sierpień — sierpień Powstania Warszawskiego. A potem mamy Październik — miesiąc bitwy pod Lenino i początek bojowej i bohaterskiej historii Ludowego Wojska Polskiego.

Polska geografia zwycięstwa znaczona jest datami: 17 stycznia 1945 — wyzwolenie Warszawy, 19 stycznia — Kraków i Łódź, 15 stycznia — Kielce, 22 stycznia — Gniezno, 23 stycznia — Bydgoszcz, 24 stycznia — Kalisz, 29 stycznia — Zakopane...

Druga wojna światowa wywarła wielostronny wpływ na losy powojennego świata. Zwycięstwo, w którym decydującą rolę odegrał Związek Radziecki — ukształtowało nową sytuację polityczną w Europie i nowy układ sił w świecie. W następstwie wojny wyzwoleńczej prowadzonej przez naród polski powstała Polska Ludowa.

Czyż można się dziwić, że sprawy tej wojny budzą wśród Polaków wciąż niesłabnące zainteresowanie? To przecież rezultaty tej wojny zadecydowały o kształcie współczesności, w której dziś żyjemy.

Książki poświęcone Drugiej Światowej składają się dziś na wielką, wielojęzyczną, wielosettomową bibliotekę. Są w niej prace naukowe i popularno-naukowe, są wspomnienia, powieści i wiersze, są pieśni... Ale mało jest publikacji syntetycznych, encyklopedycznych, ujmujących kompleksowo wszystkie ważne problemy i wydarzenia lat 1939—1945.

„Encyklopedia II wojny światowej", wydana przez MON, obejmuje zwięzłą, usystematyzowaną wiedzę o drugiej wojnie. Jest to — oczywiście — wiedza wyselekcjonowana, bo inaczej wydawcy i autorzy nie byliby w stanie zmieścić się w 2 tysiącach haseł i 150 arkuszach wydawniczych...

Przyjęto zatem słuszną zasadę szczególnego uwzględnienia kontynentu europejskiego i spraw polskich. Połowa haseł i materiału ilustracyjnego, dotyczy spraw polskich, połowa — problemów i wydarzeń na arenie międzynarodowej.

Proporcje, jak sądzę, zupełnie słuszne. Encyklopedia MON jest pierwszym tego rodzaju syntetycznym opracowaniem w Polsce i jednym z nielicznych w świecie. Jest to publikacja potrzebna i bardzo cenna...

Dlatego też tym śmielej zgłaszam parę uwag laika, które wartości encyklopedii nie podważą. Są to oczywiście drobiazgi, ale warto je wyeliminować przy wydaniach następnych, które z pewnością będą.

Otóż mnie pewna niekonsekwencja. Przy hasłach osobowych występują niejasności. Tak na przykład przy nazwisku gen. Kopańskiego tytuły jego wspomnień zaopatrzone są w adnotacje o miejscu wydania (Londyn). Przy nazwisku gen. Kukiela już się miejsca wydania (też Londyn) nie podaje. Jest to rzecz mało istotna, bo wiadomo, że obaj pozostali na emigracji. Ale w wypadku gen. Abrahama już nie wiem czy ten oficer wydał swoją książkę na Zachodzie czy w Polsce. Z noty biograficznej to nie wynika.

Zupełnie natomiast niezrozumiałe jest pominięcie w nocie biograficznej Mikołaja Kunickiego — dowódcy partyzantki polsko-radzieckiej na Ukrainie. Otóż Kunicki wydał po wojnie w Polsce (mieszka w Zamościu) swoje pamiętniki — w nocie o tym ani słowa. Dlaczego?

Podobnych drobiazgów znaleźć można tu więcej (np. przy haśle „Zamach na Koppego" brak informacji, że istnieje na ten temat cenne studium P. Stachiewicza pt. „Akcja Koppe", wydane przez... MON), ale nie one określają przecież wartość tej publikacji. „Encyklopedia II wojny światowej" jest bowiem pozycją niezwykle cenną i słusznie zrobił wydawca oceniając zainteresowanie czytelnicze na 100 tysięcy egzemplarzy.

**WIDOK**

# LEWYM OKIEM

# ODKURZACZE

Michał Anioł Buonarotti przez wiele lat korespondował ze swym ojcem i otrzymywał od niego ojcowskie rady na miarę tamtej epoki. W roku 1500 ojciec pisze swemu genialnemu synowi tak: **„Przede wszystkim pielęgnuj głowę, dbaj o umiarkowane ciepło i nie myj się nigdy: każ się czyścić, ale nie myj się nigdy".**

Rzeczywiście — jak pisze Romain Rolland w swej biografii wielkiego artysty — Michał Anioł nie był czyścioszkiem, kładł się spać w ubraniu i w butach z trzema pomocnikami w jednym łóżku. **„Pewnego razu spuchły mu nogi, wypadło rozciąć buty; ściągano je wraz ze skórą nóg".**

Był także nieustannie chory, ciągle pisał o swych chorobach i nędzy. Z tego tylko choroby były prawdziwe, bo jakaż to nędza, skoro posiadał 6 domów we Florencji i 7 „gruntów" w różnych miejscowościach, a w spadku po nim zostało ponad 16 tysięcy złotych dukatów, co było niemałą fortuną. Żaden z magistrów plastyków, absolwentów naszych Akademii Plastycznych, takiego spadku nie zostawi, a żaden z nich nie skarży się przecież na nędzę...

O higienie nic wtedy nie wiedziano. W zabawnej antologii pt. „Kultur — Kuriosa" Max Kemmerich wspomina między innymi, że **„chusteczki do nosa nie były powszechnie używane. Należało sobie jednak pomagać lewą ręką, bo prawa służyła do jedzenia...".**

**Jeszcze** nie wiedziano o higienie — czy może już o niej nic nie wiedziano? Przecież co drugie wykopalisko z epoki rzymskiej to łaźnie, z czego wniosek, że musiały one być dla ówczesnych ludzi naprawdę pierwszą potrzebą. To byli mieszkańcy tych samych okolic, gdzie w piętnaście stuleci później radzono dorosłym synom: **„nie myj się nigdy!".**

A teraz pozwólcie na malutki przeskok, oto czytam, że w naszym kraju, dzisiaj, na 100 gospodarstw domowych przypada aż 80 telewizorów, ale tylko 44 odkurzacze. Statystykę podano jako ilustrację stopy życiowej — i słusznie, bo ilość posiadanych telewizorów, pralek, lodówek i maszyn do szycia świadczy o stanie zamożności kraju. Ale przecież świadczy też o hierarchii potrzeb, odczuwanych przez naszych rodaków. Telewizor kosztuje tyle co pięć odkurzaczy, ale telewizor uważa się za potrzebniejszy. Chcemy być rozrywani, na odkurzenie mieszkania można poczekać. Najwyżej puszcza się w energiczny ruch szczotkę i ściereczkę, a wiadomo, że — jak mawiał Tuwim — zamiatanie to przenoszenie kurzu z jednego miejsca na drugie. Co zdmuchniemy z lodówki, to siada na telewizorze. Siadamy więc i oglądamy Kobrę.

Pisałem niedawno, że co do ilości telewizorów w stosunku do liczby mieszkańców jesteśmy na jednym z pierwszych miejsc świata, przed Francją i Zachodnimi Niemcami. W odkurzaczach spadlibyśmy na pewno daleko do tyłu. O telefonach nie mówię, telefonu nikt sobie zwyczajnie sprawić nie może, gdyby mógł — może by się okazało, że i telefon wolimy od odkurzacza. Zawsze można pogadać i popsioczyć, a czasami nawet coś załatwić. Na razie zaś nie wyobrażamy sobie załatwienia czegokolwiek inaczej niż w bezpośredniej rozmowie, oczywiście przy użyciu paru kilogramów tak zwanej dokumentacji. Stąd delegacje służbowe.

Jeżeli — jak czytam w jeszcze jednej statystyce — mieliśmy w ubiegłym roku około 40 milionów podróży służbowych, które kosztowały ponad 8,7 miliarda złotych, to wynika z tego, że przeciętna podróż służbowa kosztowała 217 złotych. Cóż to za podróż? Z Łodzi do Piotrkowa i z powrotem. A musiało być mnóstwo podróży krótszych, skoro przeciętna wygląda tak skromniutko. Jeździmy więc na bliskie delegacje, załatwiamy coś tam i reszta dnia pracy, zapłaconego oddzielnym funduszem płac, zostaje do dyspozycji delegata. Czy to nie ogromne, nie wykorzystane rezerwy? Czy to nie ogromna, usprawiedliwiona absencja?

Kwota 217 złotych nie może budzić niepokoju. Nikt za to hulać „w terenie" nie będzie, wręcz przeciwnie — trochę zapewne od siebie dopłaci. Niepokój budzi ogromna ilość delegacji, że tłumy ludzi (średnio około stu czterdziestu tysięcy dziennie, a to znaczy że w pewnych dniach tygodnia i miesiąca pięć — dziesięć razy tyle; pomyślcie: cała Łódź puszczona nagle w zawrotną krzątaninę po kraju!) w pociągach, na stacjach, w restauracjach, w hotelach, w przedpokojach tysięcy biur i instytucji!

**W dodatku — w zakurzonych przedpokojach, hotelach i lokalach, skąd wracamy do zakurzonych mieszkań. Zdejmujemy zakurzone marynarki i siadamy przed zakurzonym telewizorem. Z zakupem odkurzacza poczekamy, na razie marzy nam się Polski Fiat...**

**ĆWIEK**

# PROPOZYCJE

# UPAŁ

Nadużywanie określeń najwyższych prowadzi do ich dewaluacji. Mieliśmy już lato stulecia i gdyby wydarzyło się drugie, co nie jest wcale wykluczone, nie wiedzielibyśmy jak je nazwać. Na wszelki wypadek **„Życie Warszawy"** napisało, że lato stulecia mają... w NRD. 17 lipca 1976 roku był najgorętszym dniem na tamtym obszarze od 1893 roku. To wprawdzie jeszcze nie stulecie, ale nie ja będę się martwił, jeśli w ciągu najbliższych 18 lat znów nadejdzie najgorętszy dzień. Czy będzie nowe lato stulecia w NRD? I ile lat stulecia może być w stuleciu?

Takie wątpliwości mogą nachodzić człowieka tylko w czasie upału. W spółe w upał ludziom różne rzeczy przychodzą do głowy. Na przykład:

W pewnej bardzo małej instytucji od dłuższego czasu stała nieczynna lodówka. Ludzie popijali ciepłą wodę sodową, ciepłą „pepsi colę", ratowali się przed gorącem gorącą herbatą. Ktoś wreszcie wpadł na pomysł, aby sprawdzić lodówkę. Podłączył ją do sieci i okazało się, że lodówka jest dobra, czynna, chłodzi. Postanowiono więc uczcić ten fakt, złożyć się, kupić kilka butelek „pepsi coli" i wody sodowej, aby zrobić zapas chłodnych napoi. Składkę przeprowadzono, ale powstał problem, kto dokona zakupu. Jakoś wszyscy byli zajęci, każdy miał pilną robotę do ukończenia. Wtedy okazało się, że kierownik siedzi u siebie i patrzy tępo w sufit. Delegacja poszła do kierownika.

**— Lodówka już czynna. Tu są pieniądze, w siatce butelki. Prosimy o kupno wody sodowej i „pepsi coli".**

**— Zgoda** — powiedział kierownik, sapiąc od gorąca. **— Zimne napoje bardzo się przydadzą. Niech ktoś po nie skoczy. Chętnie się dołożę.**

**— Ale rzecz w tym** — powiedziała delegacja **— że my nie mamy czasu, a pan kierownik akurat nic nie robi, więc może by pan...**

**— Ja?**

**— Tak.**

**— Ja nic nie robię? Ja. Ja myślę, ja pracuję koncepcyjnie.**

**— W taki upał?** — zdziwiła się delegacja.

I kierownik uległ temu argumentowi. Wziął grzecznie siatkę, pieniądze i poszedł kupić swoim pracownikom orzeźwiające napoje. Takie coś może się zdarzyć tylko w upał.

W upał może się zdarzyć wszystko. Oto jednemu z moich znajomych zapalił się... telewizor.

**— Cztery lata czekałem na olimpiadę. I tylko kiedy się zaczęła, ten cholerny aparat musiał się zapalić. Od upału oczywiście.**

Upał przeszkodził naszym piłkarzom pokonać drużynę Kuby. Wprawdzie tego dnia w Montrealu było tylko 23 stopni C, ale w misie stadionu było podobno około 30 stopni C. Polacy grali fatalnie i można podejrzewać, że gdyby w misie stadionu było chłodniej, to przeszkadzałby im chłód. Ale jednego z łódzkich dziennikarzy oburzyła nie tyle zła gra naszej ponoć reprezentacji, ile fakt, że książę Filip po kwadransie opuścił trybunę. Księżniczka Anna znów spadnie z konia i będziemy mieli kolejne poważne zmartwienie. Na upały takie zmartwienia są wprost idealne. Nawet Małgorzata Karbowiak zmartwiła się tym, że **„wyraźnie znużona twarz Elżbiety II przyjmującej w upale dwugodzinną paradę"** odjęła tej paradzie cały patos. Że to niby Kanadyjczycy tak bardzo się tym przejęli.

Ale jakoś nikt się tym nie przejął, że Józek Kowalski wyłączył telewizor po 10 minutach oglądania meczu naszej niby to reprezentacji z Kubańczykami, a dziadzio Zyzio Makarczyk nudził się podczas olimpijskiej parady a napluł na ekran telewizyjny (swego własnego telewizora) w czasie meczu Polska — Kuba. Można to wszystko wytłumaczyć tylko upałem.

**— Panie?** — dziwił się pewien siwowłosy mężczyzna w jednym z łódzkich supersamów **— czy ci ludzie pogłupieli, bez przerwy stoją w kolejkach i kupują wszystko, jakby jutro świat miał się skończyć.**

**— To wszystko z upału** — wyjaśniał mu cierpliwie jego rozmówca. **— Upał rozpuszcza im rozumek.**

Na ulicy Piotrkowskiej spotkałem znajomego. Szedł szparko odziany w drelichową kurtkę.

— Nie gorąco ci? — zagadnąłem go. — Nie za grubo ubrałeś się na taki upał?

**— Nie** — odpowiedział — **nie gorąco. Trenuję.**

— Przepraszam, co robisz?

**— Trenuję. Przyzwyczajam się do jeszcze większych upałów.**

— A to mają być jeszcze większe?

**— Tak. Tam, gdzie wyjeżdżam są jeszcze większe.**

— Aha — powiedziałem. — Szczęśliwej podróży!

**— Dziękuję!**

I poszedł.

No proszę, czego to ci ludzie nie wymyślą w taki upał.

**MARCIN RODAK**

# magazyn

KONRAD FREJDLICH

## ŚLUBY KAWALERSKIE

„Damy i huzary" należą do wcześniejszych sztuk Fredry i chociaż są niewątpliwie słabsze od takich arcydzieł komediowych jak „Zemsta" czy „Pan Jowialski" weszły na trwałe do repertuaru polskiej, i nie tylko zresztą polskiej sceny, o czym świadczy choćby ich nie gasnąca popularność. Niewyszukana fabuła, konsekwencja w przeprowadzeniu intrygi, doskonała technika dramaturgiczna, która zapowiada już „późnego" Fredrę — wszystko to sprawia, że teatry sięgają po tę klasyczną pozycję często i chętnie. Nie dziwmy się więc, że Jan Perz postanowił przypomnieć „Damy i huzary" swoim widzom w dniu jubileuszu Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej. Przypomnieć, bowiem były one sztuką, którą ta zasłużona placówka kulturalna zainaugurowała swoją działalność we wsi Bogumiłowice 2 maja 1953 r. Tamte historyczne „Damy i huzary" w reżyserii Kazimierza Czyńskiego miały w sumie 281 przedstawień. A jak będzie z obecnymi? Pamiętajmy przecież, że nie jest to zwykła powtórka z tematu. Fredro, choćby ze względu na ilość pysznych inscenizacji, nie jest autorem łatwym do grania, jego popularność nie jest w tym wypadku ułatwieniem, stawia reżyserowi a zwłaszcza aktorom niezwykle surowe wymagania. O ile nie mamy kłopotów z odczytaniem tekstu, który jest niemal powszechnie znany, o tyle od inscenizatora mamy prawo wymagać nowych rozwiązań formalnych, pomysłowości w opracowaniu detali sytuacyjnych, rozwiązania ruchu scenicznego.

Zdawał sobie z tego sprawę Jan Perz, kiedy zabierał się do kolejnego wystawienia „Dam i huzarów", skoro jako scenografa zaprosił Maję Berezowską, która ma nie tylko nazwisko, ale także szczęśliwe pomysły. Rzecz przecież w tym, że salonowy Fredro wymaga rzeczywiście starannej oprawy. Ta typowo kostiumowa sztuka jest dla scenografa, podobnie jak dla reżysera, trudnym egzaminem. I trzeba od razu stwierdzić, że zdali go oboje, co oczywiście nie oznacza, że nie mamy do inscenizacji żadnych zastrzeżeń.

Ale o wszystkim po kolei. Fredrę można realizować realistycznie, tak jak go na ogół wystawiają Rosjanie, można też szukać specjalnej konwencji wypowiedzi, co ze względu na mnogość inscenizacji tego pisarza wydaje się drogą właściwszą, nie pozbawioną jednak pewnego ryzyka. Swoboda jest tu przecież ograniczeniem, pozorny brak rygorów zasadniczym rygorem, trzeba bowiem znaleźć właściwy klucz inscenizacyjny i przy jego pomocy otwierać przed widzem wszystkie smaczki Fredrowskiego dramatu, który choć taki stary, nie postarzał się przecież ani na jotę i natrętne maksymy, które weszły już od codziennego języka, jak dawniej budzą śmiech, jeśli są tylko odpowiednio podane.

Perz wybrał dla swojej inscenizacji drogę trudniejszą, zdecydował się na świadome przerysowanie scenicznych postaci, wyolbrzymił gest, monstrualnie zaakcentował sytuacyjny humor. Był to zamysł szczęśliwy, gdyż nie skomplikowana w końcu akcja ulega jakby przyspieszeniu, nie czujemy trzech długich aktów, intryga pochłania nas, aktorzy bawią. Zwłaszcza grający Majora Tadeusz Trygubowicz, któremu dzielnie sekunduje równie przekonywający Rotmistrz — Euzebiusz Olszewski. Do tej pary dostroił się Stanisław Marian Kamiński w roli służącego Grzegorza dając prawdziwy koncert gry aktorskiej. Są to, jeśli nie liczyć Leny Wilczyńskiej występującej gościnnie w roli Pani Orgonowej, najjaśniejsze punkty spektaklu. Pisząc w ten sposób nie chcę powiedzieć, że pozostali aktorzy nie sprostali swemu zadaniu. Już dawno przecież nie widziałem tak dobrze grającego zespołu Teatru Ziemi Łódzkiej jako całości. Jeśli jednak wyróżniam wymienionych wyżej artystów to przede wszystkim dlatego, że najkonsekwentniej zrealizowali myśli inscenizatora, że w ich działaniach aktorskich czuło się to, co w gwarze recenzenckiej nazywane bywa spoidłem. Nie oznacza to przecież, że pozostali aktorzy nie wnieśli do spektaklu interesujących momentów. Co prawda słabszy niż zazwyczaj był Zbigniew Bielski w nieco cukierkowej roli zakochanego Edmunda, w której nie czuł się chyba najlepiej. Cóż, taki właśnie jest tekst Fredry i nic na to nie poradzimy. Mało mógł się „wygrać" Janusz Dziubiński w marginesowej roli Kapelana, ale jego sakramentalne „Nie uchodzi" budziło za każdym razem szczery śmiech widowni. Sabina Mielczarek w roli Pani Dyndalskiej i Maria Niedźwiedzka w roli Panny Anieli dały kilka przykładów dobrego opanowania teatralnego rzemiosła. To samo można powiedzieć o Róży Chrabelskiej w roli Zofii, oraz o Ewie Jagiełło, Soni Ciesielskiej i Annie Jaros w rolach panien służących.

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. Aleksander Fredro: „Damy i huzary". Reżyseria Jan Perz, scenografia Maja Berezowska. Premiera 26 czerwca 1976 r.

WIESŁAW TRZASKALSKI

## MYŚLI PODPATRZONE

1. Karmienie się nadzieją — prędko się przejada.
2. Trudno wspiąć się wyżej, nie trafiając przy tym na ludzkie języki.
3. Przez dziurkę od klucza czasami otwierają się komuś oczy.
4. Korzenie zła sięgają nieraz bardzo wysoko.
5. Z człowieka ze stali bardzo łatwo uczynić można tępe narzędzie.
6. Jeśli masz w sobie coś dobrego, to nie mów o tym ludożercom.
7. Cudze łzy niejednemu pomogły wypłynąć.

WACŁAW PAWLAK

## PRZY KAWIARNIANYM STOLIKU

Dyrektor Teatru Polskiego w Łodzi, Marian Gawalewicz, stał zamyślony przed jednym z obrazów zdobiących wnętrze cukierni Roszkowskiego. Malowidło przedstawiało na tle urwistych skał nagą kobietę z rozwianymi włosami, tulącą się do grzbietu rozhukanego rumaka. Niewiasta gniotła boki konia kolanami. Oczy miała zamknięte, a oblicze jej wyrażało zmysłową rozkosz. — To tylko kopia, dyrektorze — przerwał mu rozmyślania recenzent teatralny „Rozwoju" Stanisław Łapiński. — Przed paru laty nasz impresario od wystaw artystycznych, Zygmunt Bartkiewicz, uprzystępnił oryginał bywalcom Helenowa. Obraz ten tak przypadł do gustu Roszkowskiemu, że zamówił kopię dla swojej cukierni.

— Domyśliłem się, że to jest kopia. Oryginał „Szału" oglądałem w Warszawie. Zastanawiam się, co Podkowiński chciał wyrazić przez swoje dzieło. Był to uzdolniony malarz. Szkoda, że zbyt wcześnie odszedł ze świata, dotknięty suchotami płuc.

— Gruźlica czyni w naszym społeczeństwie ogromne spustoszenia — zauważył Łapiński. — Corocznie pochłania ona tysiące istot ludzkich, a wśród nich wiele jednostek utalentowanych, które swoją twórczością mogłyby wzbogacać rodzimą skarbnicę kultury. Rozmawiałem kiedyś na ten temat z redaktorem „Czasopisma Lekarskiego", dr Sewerynem Sterlingiem, specjalizującym się w zwalczaniu gruźlicy. Jego zdaniem, medycyna robi co może, ażeby ograniczyć działanie tej groźnej choroby, ale same środki lekarskie nie wystarczą. Trzeba by — powiedział on — doprowadzić do zmiany stosunków społecznych, do takich form ustrojowych, które by chroniły ludzi przed pracą ponad siły i zabezpieczały ich przed klęską niedożywienia i głodu. — Ba, ale jak to zrobić? — rzucił retoryczne pytanie Gawalewicz.

Zasiedli przy kawiarnianym stoliku. Przyłączył się do nich młody dziennikarz, Stefan Gorski, korespondent „Tygodnika Ilustrowanego".

— Czytałem pańską „Łódź współczesną", całkiem udana książka. Śmiało rzec można, że czegoś takiego nie mieliśmy od czasu, kiedy Oskar Flatt dał nam swój „Opis miasta Łodzi" —pochwalił Łapiński dzieło Gorskiego.

— Mój przewodnik po Łodzi nie jest z pewnością doskonały — oświadczył skromnie Gorski. — Widziałem wszelako potrzebę napisania takiej książki. W ostatnich latach wielu ludzi odwiedza Łódź w sprawach handlowych i nie tylko handlowych. Sądzę, iż książeczka ta ułatwi im zapoznanie się z miastem i jego specyficznymi problemami

— W „Łodzi współczesnej" doczytałem się interesującej informacji — mówi Łapiński. — Powszechnie sądzi się, że gród bawełniany jest bogatym miastem, a jego mieszkańcy opływają w dostatki. Wystarczy uważnie przewertować stronice pańskiej książki, ażeby prysło to złudzenie. Wszak znaczna większość łodzian odżywia się mniej niż skromnie. Weźmy jadłospis robotnika: na śniadanie pije on dwie szklanki kawy zbożowej i zjada trzy ćwierci funta chleba; obiad składa się najczęściej z barszczu z ziemniakami, kapuśniaku lub zacierek i do tego kromka chleba; na kolację spożywa się resztki z obiadu lub kawę z chlebem. Mięso jada się tylko w niedzielę.

— Są to, niestety, niepodważalne fakty — oświadczył Gorski.

— Za to alkoholu spożywa się w Łodzi niezmiernie dużo. W ciągu roku przepito około trzy miliony rubli, wliczając w to koszt win, likierów, koniaków, których pije się także dużo.

— Trzy miliony, przepite w mieście odznaczającym się tym, że brak w nim wszystkiego, co cechuje każde duże środowisko miejskie: szpitali, szkół, czytelni, kanalizacji, wodociągów, kąpielisk publicznych — snuł Łapiński niewesołe refleksje.

— Nie miałem dotąd sposobności zapoznania się z pańską książką i nie wiem, co pan tam w niej pisze o teatrze — zwrócił się Gawalewicz do Gorskiego. — Ciekawi mnie jednak pańskie zdanie na temat perspektyw sceny polskiej w Łodzi.

— Zmartwię pana, dyrektorze, ale mój pogląd na to zagadnienie jest dosyć pesymistyczny. Ogół mieszkańców Łodzi mało odczuwa piękno prawdziwej dramaturgii. Przedstawienia jakiegoś „Colosseum" lub „Apollo" mają o wiele więcej zwolenników. Znużony całotygodniową pracą łodzianin po cóż ma się „męczyć" prawdziwą sztuką, kiedy pod opieką lekkiej muzy znajdzie wytchnienie, odpoczynek i nie potrzebuje „myśleć", a uśmieje się całą duszą.

— Hm, z tego, co tu od pana usłyszałem, perspektywy dla mojego teatru rysują się nie najlepsze. Nie tracę wszakże nadziei, że uda mi się przełamać obojętność tutejszego społeczeństwa dla prawdziwej sztuki. — Gawalewicz dopił kawę i rozejrzał się po sali. — Co panowie sądzą o łodziankach? — rzucił nieoczekiwane pytanie.

— Moim zdaniem, nasze panie prezentują się nie najlepiej — odrzekł Gorski. — Brak im przede wszystkim tej zręczności w ruchach, jaką się widzi u warszawianek. Kosztownie, ale nie gustownie poubierane damy pozbawione są wdzięku i elegancji. Razi w nich brak obycia towarzyskiego i kultury.

— Uważam, że nazbyt wiele wymaga pan od żon i córek dawnych tkaczy ręcznych i drobnych kupczyków — zaoponował redaktor „Rozwoju". — Kultury i wyszukanych obyczajów nie nabędzie się za pieniądze, jak na przykład kosztowne meble czy stroje. W środowisku łódzkim rozwijają się one bardzo powoli i trzeba kilku pokoleń, ażeby łodzianie intelektualnie dorównali mieszkańcom Warszawy czy Krakowa.

— Zgadzam się z tym — przytaknął Gawalewicz. — Wszelako elegancji można nauczyć się znacznie prędzej.

W drzwiach cukierni pojawiła się zgrabna sylwetka aktorki Laury Dunin. Gawalewicz poderwał się z krzesła i podprowadził młodą osóbkę do stolika.

— Jak to dobrze, że pani przyszła. Będziemy mieli eksperta od spraw elegancji — odezwał się Łapiński, podsuwając aktorce krzesło.

— Nie pojmuję, o co panu chodzi? — zdziwiła się.

— Właśnie zastanawiamy się, czemu łodzianki są nieeleganckie, mimo, że ubierają się bardzo kosztownie. Co pani o tym sądzi?

— Dlaczego właśnie ja?

— Gdyż sądząc po ubiorze, odznacza się pani dobrym gustem.

— Pochlebca z pana. Spróbuję jednak odpowiedzieć. Uważam, że naszym paniom brak umiaru. Łodzianki tym się odznaczają od niewiast modnie ubierających się w stolicach świata, że gdy tamte wdzieją suknie wąskie, to łodzianka każe sobie zrobić jeszcze o pół raza węższą; gdy tamte na kapeluszu umieszczą bukiet kwiatów, to łodzianka umieści pięć bukietów, gdy tamte wdzieją żółte buty, to łodzianka wprost jajecznicą skórę ufarbuje, żeby miała żółtsze.

— Kapitalne! — zaśmiewał się Gorski. — Kiedyś pewna panienka w takiej obcisłej sukni, chcąc przejść przez rynsztok, upadła i suknia jej pękła, tworząc dwie firanki. Powstał więc widok, jak w kabarecie, kiedy sprytny przedsiębiorca po ośmej wieczorem daje przedstawienie dla starszych panów.

— Chyba pan się nie zgorszył tym widokiem — rzucił Gawalewicz, podkręcając z zadowoleniem końce wąsików.

— O, nie! — skwapliwie przytaknął Gorski.

Łapiński skierował rozmowę na sprawy teatralne.

— Czy pani wiadomo, że na deskach teatru, w którym tak chętnie ją oglądamy, parokrotnie wystąpiła nasza najznakomitsza gwiazda sceniczna Helena Modrzejewska?

— Rzeczywiście? Nic o tym nie wiedziałam — przyznała się aktorka. — Świadomość tego faktu zobliguje mnie do lepszej gry.

— Zbytek skromności, pani Lauro. Pisząc recenzje, nie zapomnę jednak o pani zobowiązaniu.

Aktorka uśmiechnęła się przymilnie i zaczęła powoli naciągać rękawiczki.

— Na mnie już czas. Wpadłam tu tylko na chwilę...

Gawalewicz zerwał się od stolika.

— Pozwoli pani, że ją odprowadzę. Samotna dama o tak późnej porze narażona jest na zaczepki mężczyzn.

Dziennikarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Kiedy Duninówna w towarzystwie swojego dyrektora opuściła cukiernię, Gorski westchnął:

— Szykowna jest ta aktoreczka. Dla takiej zgrabnisi warto było zostać dyrektorem teatru.

HORACY SAFRIN

## JUBILAT

### (AUTOPAMFLET W 4 ODSŁONACH)

**W klubie literackim**

Koledzy! Czy doprawdy uważacie mnie za naiwniaka? Czy sądzicie, że spadłem z planety Wenus?

Bo cóż innego mogą oznaczać wasze uśmieszki i tajemnicze szepty, które milkną nagle, ilekroć przekraczam progi Klubu?

Rozumiem doskonale. Jest to zmowa przeciw mojej osobie. Chi, chi, chi!... Musiałbym być w ciemię bity, gdybym się już dawno nie spostrzegł, że czynicie przygotowania do obchodu mego jubileuszu.

Jaki jubileusz?... Co za pytanie!... Przecież każdy sztubak w szkole podstawowej odpowie bez zająknienia, że trzydzieści lat temu ukazał się na półkach księgarskich mój zbiór „Stargane struny", który oznaczał punkt zwrotny w dziejach naszej poezji.

Trzydziestoletnie twórczości literackiej — to ładny kawał czasu, a i dorobek nie lada!

Hm... Jestem z natury skromnym człowiekiem i nienawidzę wszelkich uroczystości. Ale cóż? Nie będę się sprzeciwiał. Róbcie ze mną co chcecie... Ja się nie wtrącam do tych spraw!

**W restauracji**

Czy mogę mówić z kierownikiem hotelu i restauracji „Astoria"? Moje uszanowanie! Jestem... hm... Kajetan Gęsiepióro. Moje nazwisko jest panu znane.

Otóż w waszym lokalu odbędzie się... tak jest... jubileuszowy bankiet. Chciałbym poznać pewne szczegóły tej podniosłej uroczystości... Dlaczego sala błękitna? Sala pomarańczowa jest bardziej reprezentacyjna...

Stół w podkowę? Ech, anachronizm! Czy nie rozsądniej byłoby ustawić dwadzieścia mniejszych stolików — a jubilat pośrodku, dla wszystkich równie bliski i dostrzegalny.

Poproszę o kartę... Hm... Cóż to za bankiet bez ryby? Stanowczo upieram się, aby po zakąskach podano sandacza z rusztu lub szczupaka w majonezie. Do tego kieliszeczek koniaku „Martell" i lampkę wytrawnego włoskiego winka...

A orkiestra wasza — jazzowa, nic nie szkodzi — niech przygotuje coś w rodzaju marsza triumfalnego z opery „Aida"... Po przemówieniu pana prezesa Wojdyłło-Wojdygi...

Poza tym, ze zrozumiałych względów, pozostawiam panu pełną swobodę. Ja się nie wtrącam do tych spraw!

**W redakcji**

Ściskam dłoń łaskawego kolegi! Jak tam zdrówko?

Otóż sprowadza mnie do redakcji waszego poczytnego pisma trochę... hm... drażliwa okazja. Tak jest... jubileusz... Podziwiam domyślność pana kolegi!

Dowiedziałem się.. hm... z wiarygodnych źródeł, że w jutrzejszym numerze ma się ukazać artykuł dotyczący mojej skromnej osoby. Czy nie mógłbym się zapoznać z jego treścią?

Dziękuję. Ja tylko tak... jednym okiem...

Wielce czcigodny panie redaktorze! To chyba niedopatrzenie! Piszecie, że jestem wybitnym poetą w skali krajowej. Biorąc pod uwagę sukces moich... hm... rymowanych pierwocin i coraz bardziej nowatorskich utworów, należy stwierdzić bez przesady, że zajmuję poczesne miejsce również w skali europejskiej.

Rzecz jasna, że były to tylko uwagi na marginesie. Niech moje dzieła mówią za mnie... Ja się nie wtrącam do tych spraw!

**Na bankiecie**

Hm... hm... Otrzymałem dzisiaj tyle dowodów podziwu i uwielbienia zarówno ze strony mówców, jak i słuchaczy, że trudno mi opanować cisnące się do oczu łzy...

Szczególnie wzruszył mnie odegrany przez orkiestrę marsz triumfalny oraz artykuł w naszym popularnym piśmie, określający moją rolę w literaturze europejskiej.

Jestem z natury skromnym człowiekiem i kto wie, czy zasłużyłem na tego rodzaju hołdy... Ale taki już bywa los jubilata, któremu nie przystoi wtrącać się do tych spraw...

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102 Telefony 652 41 217 98 oraz 293 00, wew 29, 39, 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1538, R-2, Nr indeksu 26762.